PRZEGLĄD WIELKOPOLSKI



ROK II — 1946 MARZEC — NR 3

PRZEGLĄD WIELKOPOLSKI

MIESIĘCZNIK REGIONALNY

pod redakcją

DR. ZDZISŁAWA GROTA i DR. WINCENTEGO OSTROWSKIEGO

SPIS RZECZY:

Kierownictwo graficzne: Marian Romała

Wydawca: Jan Jachowski, Poznań, Zygmunta Augusta 1. — Nakładca: Księgarnia Akademicka, spółdzielnia z odp. udziałami, Poznań, Zygmunta Augusta 1. — Adres Redakcji: Poznań, Zwierzyniecka 20, pok. 7. — Adres Administracji: Poznań, Zygmunta Augusta 1.

PKO V-242. Właściciel konta: Księgarnia Akademicka, sp. z odp. udz. Konto czekowe nr 44 w banku „Społem" — Oddział w Poznaniu.

361 — I. 46. 2000 — K - 13212

Tłoczono w Drukarni św. Wojciecha pod Zarządem Państwowym w Poznaniu.

PRZEGLĄD WIELKOPOLSKI

MIESIĘCZNIK REGIONALNY

POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM KULTURY WIELKOPOLSKIEJ W PRZESZŁOŚCI I W CHWILI OBECNEJ

Rok II Poznań, marzec 1946 r. Nr 3

Dr A. M. Skałkowski
Prof. Uniwersytetu Poznańskiego.

LEGENDA I PRAWDA O KILIŃSKIM

„Czytajcie dzieje własne i uczcie się miłować ojczyznę" — pod takim wezwaniem wydawała poznańska księgarnia Żupańskiego „Pamiętniki Jana Kilińskiego, szewca a razem pułkownika 20 regimentu". Wcześniej i później, w kraju i na emigracji, w tejże samej myśli wielokrotnie podejmowano ich publikację. I spełniały to zadanie propagandy patriotycznej wśród warstw ludowych, rzemieślniczej zwłaszcza, przez parę pokoleń od powstania listopadowego, kiedy je po raz pierwszy wydrukowano. A także u inteligencji i w świecie uczonym uchodziły (zwłaszcza w edycji z r. 1860, poszerzonej, z życiorysem autora i kilku dokumentami) za kapitalne źródło do historii insurekcji warszawskiej z 1794 roku. Za takie wszak uznał je Tadeusz Korzon w przeglądzie źródeł do „Dziejów wewnętrznych za panowania Stanisława Augusta". Opinia ta mogła się utrzymywać do czasu, gdy Aleksander Kraushar ogłosił w r. 1898 „z autografu i rękopisu" Kilińskiego „Drugi pamiętnik o czasach Stanisława Augusta". Jest on pełen zmyśleń, dla każdego chociaż pobieżnie znającego nasze dzieje widocznych; toteż od razu utracono wiarę w wartość przekazów historycznych z tego źródła pochodzących. Na domiar Wacław Tokarz w studium pt. „Warszawa przed wybuchem powstania 17 kwietnia 1794 r." wykazał, że organizatorami insurekcji stołecznej byli oficerowie załogi, zaś rola w niej Kilińskiego była nieporównanie mniej znaczną, niżli chciał odegrać i sobie przypisywał. Ten pogląd w nauce się utrzymał, chociaż Korzon nań się oburzał, a „Drugi pamiętnik" nie tylko nie został wycofany przez wydawcę, ale ukazał się w powtórnym i trzecim nakładzie. Jednakże bodaj nikt dotąd nie objaśnił, jak należy osądzać Kilińskiego, na podstawie uzupełnionej jego autobiografii i wobec postępu badań nad epoką. W tym celu koniecznie potrzeba by wydać krytycznie oba pamiętniki. Zanim jednak to nastąpi, można chociaż ogólnie zaznaczyć, na czym polega trwała ich wartość, a co nam tłumaczy różnice między nimi zachodzące, które

Korzonowi zdały się tak ogromne, iż jednym się zachwycał, zaś o drugim ani chciał słyszeć. W istocie nie ma między nimi dużej rozbieżności. Inne ujęcie wywołały odmienne warunki, w jakich Kiliński je spisywał. Pierwsza redakcja poczęta została w Petersburgu. Czuł się wówczas nieco skrępowany. Oddziaływać musiała nań atmosfera więzienna. A także wpływ Niemcewicza, który go zachęcił do spisania wspomnień, ale w pewnej mierze hamował jego fantazję, chociaż i nie znał przebiegu rewolucji warszawskiej z własnej obserwacji. Bądź co bądź nie sposób było przedstawiać swój w niej udział całkiem fantastycznie. Wszakże i tak zgarnął dla siebie walną całego przedsięwzięcia zasługę od „najpierwszego początku zamysłu" poprzez walki w różnych częściach miasta aż do ucieczki Igelströma i odparcia spieszących mu z pomocą Prusaków. Dalej nie sięga w relacji spisanej w twierdzy petropawłowskiej. Wszakże wyraźnie w niej zaznacza, iż był „powodem całej rewolucji". Na tej też podstawie wznieść się miała jego legenda.

W latach późniejszych wrócił do wspomnień swej doby historycznej i już z całą swobodą puścił wodze fantazji. Wyszedł też znacznie poza granice pierwiastkowej relacji (petersburskiej) i tak powstał tzw. „drugi pamiętnik". Rozsnuł barwną opowieść o tym, co było i co nie było, i mało mogąc przydać do swych przeżyć realnych (poza opisem końcowej niedoli jeńca pruskiego i rosyjskiego więźnia) kreślił obrazy niespełnionych marzeń, jakby śniąc na jawie z piórem w niewprawnej ręce.

Oto wkrótce po ostatnim sejmie grodzieńskim na balu w Radziwiłłowskim pałacu jenerałowie proszą go, by im doradził, jakby ratować pognębioną, rozdartą ojczyznę. Potem należy do ścisłego grona spiskowego, które wzywa Kościuszkę do powrotu. Przeprowadza całą organizację powstania w Warszawie. W tym czasie wygłasza różne przemówienia. Przewodzi walce z 17 kwietnia. Powoduje przywrócenie Zakrzewskiego na urząd prezydenta. Królowi hardo się stawia. Zdobywa kasę Igelströma i na pożytek obraca ją publiczny. Nad Prusakami zbliżającymi się ku stolicy odnosi zwycięstwo, zwabiwszy ich w zasadzkę (tak że na „placu mieli 1800 zabitych, 113 było rannych, a reszta uciekła"). Snuje też plany, aby wymógłszy na dowódcy wojsk moskiewskich ich ustąpienie z Polski, zawrzeć alians z carową wieczysty, za cenę oddania Pobereża, Podola i Ukrainy, „a z królem pruskim za wzgardę nam uczynioną wojnę rozpocząć". Niezadowolony z działalności sprawujących rządy w Warszawie, podejrzewając o zdradę Mokronoskiego i Zakrzewskiego, wybiera się do obozu pod Racławicami, gdzie go Naczelnik z największą podejmuje atencją. Podczas oblężenia Warszawy, zostawszy pułkownikiem, homeryckie stacza boje. On to (a nie Dąbrowski) u schyłku sierpnia odbija baterię Szwedzką, na której ważyły się losy stolicy, ale zarazem popada w niewolę, z której wszakże zaraz się wydobywa i wnet

olbrzymie Prusakom zadaje straty, aż odstępują od Warszawy. Po klęsce Maciejowic ofiaruje się jeszcze jechać do Poznania, by wywołać tam powstanie, i zatrzymuje się dopiero na wieść o upadku Pragi.

Analizy i krytyki tej opowieści nie chcieli się podjąć najbardziej powołani. Tokarz korzystał z niej bardzo ostrożnie zestawiając z innymi przekazami źródłowymi, Korzon nie wdając się w rozbiór szczegółowy, potępił wydawcę, że w pogoni za sensacją opublikował duby smalone z ujmą dla kultu bohatera narodowego. Zaś Kraushar, jak zwykle, nie zadał sobie trudu, aby głębiej w rzecz wniknąć. Tylko Józef Ignacy Kraszewski, skłonny w ogólności przeceniać wartość pamiętników, ogłaszając z tych urywek (jeszcze w r. 1868) taką słuszną poprzedził uwagą: „Jeśli nie zyska historia, to psychologia niezawodnie".

Z takim też przede wszystkim zainteresowaniem czytamy „drugi pamiętnik" Kilińskiego. A również jako utwór bezsprzecznie należący do literatury pięknej. Stąd pokusa, w niej szukać rozwiązania zagadki tak łatwego mijania się z prawdą.

Znany jest typ żołnierza samochwała i jeszcze powszechniejszy myśliwego tegoż autoramentu. Jeden taki wiarus opowiadał (co zachował w pamięci z lat młodocianych profesor Stefan Czarnowski) jak będąc z Napoleonem w Egipcie razem polowali na sfinksy, z jamnikami niby na borsuki. A Fredro plotąc swoje „Trzy po trzy" wymienił po nazwisku kilku łgarzy koronnych, których nasłuchał się jeszcze w domu rodziców. Byli mu zapewne przytomni, gdy wprowadzał na scenę owego „lwa północy", chlubiącego się z czynów dokonanych ostrzem Artemizy sławnej. Zastanawiał się też (w starości), na czym polegał czar takich bajań, nad tajemnicą powodzenia tego rodzaju facecjonistów. Wedle jego obserwacji, rzecz cała była w tym, iż przedstawiając wszystko z najdrobniejszymi szczegółami, z mnóstwem zaklęć się, z powołaniem świadków rzekomo naocznych, potrafili, mimo całego nieprawdopodobieństwa opowiadania, nie tylko przykuć uwagę, ale i obudzić chwilowo wiarę w słuchaczach. I sami ją z nimi niekiedy dzielili, zapałem uniesieni narratorskim. — Takim gawędziarzem był niewątpliwie Kiliński. I jak w dobrej kompanii, w jakiejś gospodzie, cudaczne na tle swych wspomnień wymyślał przygody, tak je potem „w księgach" pomieścił ku zbudowaniu potomności. A że ten cel mu przyświecał, wyraźnie sam zaznaczył: „Jeżeli mogą różni pisarze swoje historie opisywać, tym bardziej ja opisać mogę historię tę, która w wiekopomne wieki nawet dla dziatek naszych służyć powinna, aby pamiętali na to, jak to jest drogo krwią naszą ziemię własną odkupywać, którą nam przemoc sąsiedzka bez żadnych przyczyn wydarła".

A że przyświecała mu ta szlachetna intencja, nie tylko myśl o własnym się wyniesieniu, dowodzi rozdział, w którym oddaje „pochwały wszyst-

kim wojskom naszym", wymieniając najdzielniejszych oficerów z załogi stołecznej, którzy uczestniczyli w insurekcji. Nie przepomniał też „opisania trzech chłopków krakowskich", co przyszli z pomocą Kościuszce; tylko że pomieszał zwycięstwo racławickie z klęską szczekocińską, i wszystko przedstawił na teatralny sposób (zapewne pod wpływem reminiscencji z tak często wtedy grywanych Bogusławskiego „Krakowiaków i górali"). Takie melodramatyczne sceny nie udają mu się zupełnie. Natomiast na co patrzał, to potrafi i przedstawić z realizmem i talentem zadziwiającym. — Niekiedy opowiadania jego jakby zgoła fantastyczne, da się związać ze zdarzeniem rzeczywistym. I tak wiemy z raportu Dąbrowskiego o obronie Powązek w dniu 28 sierpnia, że wzięła w niej udział i milicja mieszczańska. Oczywiście niejednokrotnie Kiliński tai czy przeinacza pobudki swego działania. Niewątpliwie po Maciejowicach myślał ratować się ucieczką do Poznania a nie przenosić tam zarzewia insurekcji, która już beznadziejnie konała. To był odruch samozachowawczy, zupełnie zrozumiały, jakkolwiek chciał go upozorować wobec potomności.

Byłoby jednak uwłaczaniem prawdzie i krzywdą wyrządzaną pamięci bohatera pięknej karty dziejów naszych, gdybyśmy go mieli osądzać, oznaczać jego rolę w historii, li tylko wedle jego utworu literackiego, a nie z czynów człowieka żywego, z ciała i ducha, który w swej naiwnej próżności lubił się wynosić ponad wszelką miarę rzeczywistej zasługi, ale który przecież był istotnie w swym pokoleniu i w swej warstwie społecznej postacią niezwykłą i godną chwalebnej legendy.

Takim odmalował go Trębicki na kartach pamiętnika z okresu insurekcji Kościuszkowskiej: „Postawa Kilińskiego była okazała, uderzająca, ujmująca... Mało urodziwszych od niego mężczyzn liczyła stolica. Nosił się po polsku i zawsze był czysto, wykwintnie nawet ubrany. Uroda jego była wyższą nad pomierną, tusza ciała czerstwość, siłę i zdrowie oznaczająca. Rysy twarzy bynajmniej nie oznaczające ordynaryjnego i zrodzonego między pospólstwem człowieka. Wąs piękny krasił jego lice. W chodzeniu, w gestach, w całym składzie jego postawy była jakaś powaga, która mu względy, poważanie jednała. Umiał się tłumaczyć trafnie, dowcipnie, a nawet często w rzeczach, które znał, w sposób przekonywujący. Zgoła miał minę dawnego polskiego magnata i brakowało mu tylko orszaku buńczucznych janczarów, hajduków, pokojowców, aby miał całą atrybucję hetmanów z początku osiemnastego wieku, których... buława groźna była tylko dla króla i obywatelów. Grzeczniejszym przecież był od nich, nie dumnym, nie zarozumiałym". „Kołłątaj mu powierzył naczelne kierowanie umysłami mieszczan w czasie gotowanego powstania w Warszawie. Nie mógł być lepszy wybór do takiej roli. Szewc, i do tego kobiecy, jakąż mógł wzniecać obawę w umyśle... Igelströma...

Tymczasem Kiliński korzystając ze swego położenia, był niejako punktem centralnym, do którego schodziły się wszelkie korespondencje, u niego odbywały się wszelkie namowy, schadzki, konferencje". — Chociaż Trębicki może poszedł za legendą, przeceniając rolę Kilińskiego w przygotowaniach do insurekcji, bo przecież nie zdołał on pociągnąć cechów do ataku na kwaterę Igelströma, i stąd wybuch nastąpił dopiero na przededniu, co utrudniło powstańcom zwycięstwo, niemniej musiał mieć w nim znaczny udział, skoro (wedle tegoż świadectwa) „wzniósł się raptownie do niesłychanego, niepojętego zaufania, konsyderacji i reputacji". Trębicki, działając w porozumieniu ze stronnictwem królewskim, spodziewał się nawet móc go przeciwstawić emigracyjnym jakobinom z kuźnicy Kołłątajowskiej, bo „właśnie gdy gotowano się obwołać rząd tymczasowy z dowolnych zwolenników lipskich demagogów złożony, cały lud warszawski jednomyślnie naczelnikiem Warszawy Kilińskiego ogłosił przysięgając na miecze, topory, noże, siekiery i rożny, że zginie każdy, który by Kilińskiego nie uznał pierwszym urzędnikiem stolicy". Znajduje to potwierdzenie tak w jednym z „Aktów powstania Kościuszki" (wydanych przez Askenazego i Dzwonkowskiego) jak i w samych pamiętnikach Kilińskiego, gdzie nadmienia, jak to obywatele pili jego zdrowie jako „naczelnika księstwa mazowieckiego", a innym razem wprost mówili: „tego my słuchamy, Kościuszko zaś jest naczelnikiem krakowskim, ale nie naszym". Z pamiętników też możemy dowiedzieć się, jakie prócz okazałej postawy miał warunki, by przewodniczyć ludowi.

Więc najpierw dar wymowy, o którym przekonuje zwłaszcza „drugi" pamiętnik. W redakcji petersburskiej (właściwie petropawłowskiej) znać nieporadność w budowie, a więcej jeszcze w łączeniu zdań, stąd tak często powtarzane *więc*, co jednak nie występowało w żywym słowie. Był też Kiliński niewątpliwie mówcą ludowym, umiejącym zapalić go, przekonać, pociągnąć. — Nie obcy mu patriotyczny patos. Na wezwanie, aby przystąpił do sprzysiężenia, odpowiada: „Jednę duszę mam i tę poświęcam na obronę mojej ojczyzny". A ulegającym na ostatnim sejmie grodzieńskim wytknął: „Lepiej by było umrzeć z honorem, aniżeli wychodzić z wielką hańbą". — Niewątpliwie w jego głosach publicznych często brzmiały akcenty demagogiczne, nie obce wszak i jego pióru, jak nuta krzywdy społecznej. Stąd takie zwroty: „Pierwsza klasa szlachty, jako magnaty, zwykły drugą i trzecią klasę przedawać... Z małej klasy mało ukradnie, zaraz go powieszą, z pierwszej klasy wiele ukradnie, za to dostaje order. Ale gdybyśmy podpadali pod jedno prawo i jednakowo byli sądzeni, zapewne nie byłoby w Polsce zdrajców ojczyzny". — Nie tylko nie chciał zapobiec samosądom pospólstwa, ale przypisywał sobie w nich udział, o co też spółcześnie był podejrzewany.

Cechował go dowcip, którym jak się ratował stawiony przed Igel-

strömem, tak nieraz znakomicie się posługiwał w mowie i piśmie. Przestrach osób rządowych z powodu alarmu był wedle jego określenia wielki „tak dalece, że prawie pchły w nich pozdychały". (Podobnie zaklął Zagłoba zmuszony zetrzeć się z Burłajem). Czasem humor jego jest prostacki, jak gdyby należał do tych, co „ledwie boków nie zrywali", słuchając relacji kata, który na furce drabiniastej wywoził trupy powieszonych 9./V. hetmana Ożarowskiego, biskupa Kossakowskiego i marszałków Zabiełły i Ankwicza, bo niby „pomiędzy sobą ciż nieżywi nie mieli zgody" i „się jeszcze po śmierci z sobą targowali, to głowami się tłukli, to się trzęśli, to głowami nie pozwalali, okazując zawsze największe nieukontentowanie z tego, co się z nimi stało". — A przecież chciał ratować Ankwicza, którego, jak mniemał, można było użyć na pożytek kraju, a tylko stojący blisko rzeźnicy przeszkodzili mu, zatkawszy „tak mocno usta, że aż zemdlał", i po egzekucji „bardzo długo od płaczu nie mógł się uspokoić". —

Natura pierwotna i stąd skłonna do decyzji uczuciowej bez głębszej rozwagi w pojęciu zadań niewątpliwie przenoszących jego zdolności, jak zwłaszcza w dziedzinie wojennej, do czego się przyznawał. „Jak lubo sam byłem bez żadnej praktyki i doświadczenia, jednak miałem w sobie wiele ryzyki i odwagi, chcąc się wydobyć z jarzma niewoli". Przy tym nie brakło mu inteligencji i podejrzliwej nieufności. I tak mimo licznych wzajemnych się zaprzysięgań obawiał się do ostatka, że może nie dojść do zgodnego współdziałania wojska z ludnością cywilną. W „drugim" pamiętniku wyraźnie przyznaje, iż „się bardzo lękał, by przypadkiem nasze wojska obywateli na rzeź nie wystawiły".

Jego stosunek do Tymczasowej Rady Zastępczej, chociaż się od udziału w niej wymawiał, był poprawny, inaczej gdy przeistoczoną została w Narodową Najwyższą. Winił ją o „despotyzm i zdradę" i nie bez racji podejrzewał, że „starała się u Kościuszki", aby go „koniecznie do wojska ściągnął", „aby mogła co chcieć robić, bo pozbywszy się go z miasta, nie miałaby już żadnego kosa nad sobą". Spór się zaostrzał. Kiliński oskarżał, „iż magnaci w Radzie górę biorą i że zdrajców wartych szubienicy uwalniają", że „nawet skasowali to słowo": „równość", zastępując je hasłami: „całość i niepodległość"; domyślał się intryg u Naczelnika, aby go się pozbyć, chociaż można było przewidzieć, że po jego usunięciu z Warszawy „we wszystkich obywatelach energia ustanie". Na domiar on sam (może za przyczynieniem się Trębickiego) był w antagoniźmie do Kołłątaja. Tak też, w związku z tą walką partyjną, tłumaczył sobie mianowanie go pułkownikiem, gdy właściwą dla niego była raczej prezydentura, na której mógł zastąpić (zasycając swą ambicję) zacnego ale słabego Zakrzewskiego. Jako pułkownik tyle tylko osiągnął, iż wyprowadził ze stolicy do obozu wielu oczajduszów.

W istocie rola jego już wówczas w dziejach insurekcji i w ogólności dobiegła końca, cokolwiek o swoich zasługach i przewagach wojennych podobało mu się jeszcze bajać. — Jeśli słuszna Trębickiemu wierzyć, popadłszy w zatarg z Wulfersem, zgubił go oskarżeniem „o skryte zmowy z rosyjskimi jeńcami". Jakkolwiek bądź, miał odmówić pomocy w uśmierzeniu motłochu wieszającego winnych i niewinnych w dniu 28 czerwca. „Pił on wtenczas w szynku dominikanów obserwantów". Deputacji do niego przybyłej miał odpowiedzieć: „Kto lud podburzył, niechaj go uśmierza. Rada Najwyższa dziś samowładna, niechajże umie zjednać sobie posłuszeństwo. A jeżeli ona zaradzić złemu nie może, cóż szewc pomoże. Kiedy zaufanie oddało mi dowództwo Warszawy, słowem jednym 100 000 ludu w dniu 9 maja wezwałem do spokojności i lud się rozszedł do domów. Dziś nic nie znaczę i powiedzcie Radzie, że jak przystało na szewca, piję". — Usunięcie się jego z widowni niewątpliwie wpłynęło na osłabienie ducha społeczności stołecznej i przyczyniło się do jej bierności podczas szturmu Pragi jak i braku godności w okresie okupacji rosyjskiej.

Zresztą i sam Kiliński nie był już tym z dni kwietniowych. I pamiętnik jego traci odtąd zupełnie swoją wartość literacką i na znaczeniu historycznym. Miał je, i w niepośledniej mierze nawet, gdy notował w swej łatwowierności pogłoski i plotki krążące wśród stołecznego pospólstwa ogarniętego psychozą trwogi i podejrzliwości, które przecież jak je pchnęły do rozpaczliwej z wrogiem walki, tak później wywoływały groźne ruchy ludowe. Kiliński ulegał tym nastrojom, nimi się przejmował, co i tłumaczy w dużym stopniu jego popularność i wpływ na społeczność Warszawy.

Z dużym realizmem odmalował w końcowych rozdziałach wspomnień „nieszczęśliwy i smutny przypadek dostania się w niewolę pruską r. 1794" i „powtórną niewolę w ten sam tydzień i transport do Petersburga". Te rozdziały przydał Wójcicki do petersburskiej redakcji pamiętników (w edycji z roku 1860) dołączając i „inkwizycje... odprawione w miesiącu lutym 12 r. 1795" (w toku śledztwa, jakie w sprawie insurekcji miał zlecone prokurator Samojłow). W tych zeznaniach, zaraz u wstępu, bardzo sprytnie odpowiedział Kiliński na zapytanie: Jakim sposobem się rewolucja zaczęła w Warszawie? Poprzed różne przyczyny natury lokalnej wysunął tę zasadniczą: „Najpierwsza stąd pochodziła niechęć Polaków przeciw Moskwie, że Moskwa wzgardziła naszą polską konstytucją 3 Maja, która była zrobioną na tron sukcesyjny na księcia Konstantego, także na królewiczównę polską a księżniczkę saską". I trzykrotnie powtarzał z naciskiem to twierdzenie. Zaś osobistą niedolę starał się złagodzić powołując się na swą rangę pułkownikow-

ską. Zresztą oczywiście zeznania były dyktowane okolicznościami, w jakich musiał je składać.

Natomiast większe znaczenie dla poznania i oceny człowieka ma pomieszczony w poznańskich wydaniach pamiętników (z r. 1860 i 1882) testament Kilińskiego. Jest on dokumentem jego życia prywatnego, z którego nie wychylił się już na widownię publiczną ani nawet w dobie Napoleońskiej. Głucho było o nim, kiedy Prusacy ustępowali z Warszawy w roku 1806 i kiedy nawiedzili ją Austriacy w roku 1809, i kiedy w cztery lata później opanowali ją Rosjanie, chociaż nieproszonych gości niepokoiła pamięć Wielkiego Tygodnia 1794 roku. Snadź legendarny bohater insurekcji stołecznej, jak i sam Naczelnik, czuł się związany dozgonnie przysięgą złożoną przy uwolnieniu z twierdzy petropawłowskiej. Zresztą w odmiennych warunkach doby Cesarstwa nie było dla niego odpowiedniego miejsca. Starczyło, że jeden z synów zyskał oficerskie szlify w polskim pułku lekkokonnym gwardii na polach bitewnych Hiszpanii.

W r. 1811 postradał małżonkę, a zawarłszy powtórne śluby tym bardziej pilnował domu przy Szerokim Dunaju. Jego „warsztat szewski utrzymywał się w reputacji i rozwijał", ale dla zapewnienia losu odnowionej rodzinie zabiegał i o emeryturę wojskową. — Umarł licząc lat 59, a na sześć miesięcy przed śmiercią spisał, pod schyłek lipca 1818, rozporządzenie o ostatniej swej woli. Wierniejszy to wizerunek jego w starości, niżli tamten obraz z krótkiej doby historycznej, w którym rysy prawdziwe trzeba dopiero odkrywać spod grubej często powłoki barw jaskrawych, jakimi przysłonił je z rozbrajającą naiwnością.

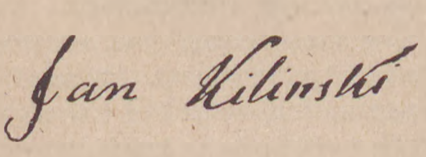
Rozdzielał swe dość skromne mienie z rzetelnością, z jaką do niego uczciwą doszedł pracą. Nasamprzód wypisał „kredytorów, którzy jeszcze niezapłaceni, gdyż oni są pierwszymi od sukcesorów". Do nich należały przede wszystkim bractwa kościelne. A winien był i piwowarom za 8 beczek złp 144. — Główną troską było, jak zapobiec sporom między dziećmi z pierwszego a drugiego małżeństwa. Braknąć nie miało i trosk pomniejszych a przecież dlań niewątpliwie dotkliwych. I tak radby był garderobę swoją „dać synom na podział, ale że żaden po polsku nie chodził", przeznaczył ją na koszta pogrzebu. Pragnął, aby kamienica, po połowie przypadająca starszym i młodszym dzieciom, pozostała w ich rękach. Pamiętał o edukacji małych, jak o zabezpieczeniu ich matki. Nic też lepiej nie świadczy o jego uczuciu i rozsądku jak odnośny ustęp testamentu: „Z największą serca mego boleścią przychodzi mi sięgnąć ręką moją na uczyniony zapis dla najukochańszej i najmilszej mej żony, z którą żyjąc przez lat siedm, nie doznałem ani fałszu żadnego, ale owszem widziałem w niej dla mnie najmilsze serce, to jest prawdziwą podporę starości mojej, i czemże ci mam teraz za twoje

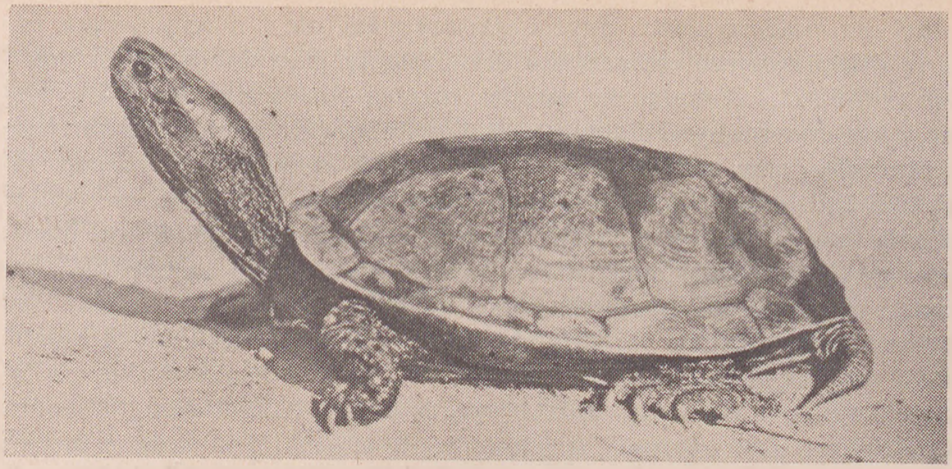
usługi dla mnie wypłacić, gdyż i sam nie mam, ale z najmniejszych odrobin dzieci naszych małych, z którymi się ty jako dobra matka pogodzić potrafisz". A mając na uwadze różnicę wieku, nie chciał jej wiązać życia zza grobu i dlatego postanowił: „Imość pani Kilińska, jako dziedziczka domu pod nr 145 od ulicy Dunaj, aż do pójścia za mąż zarządzać będzie tą kamienicą i z niej dochód pobierać, a to nie zdając nikomu żadnej kalkulacji, a gdyby żona moja za mąż pójść nie miała, natenczas ona będzie miała aż do śmierci władzę nad tą cząstką dziecinną". Gdyby zaś porzuciła stan wdowi, obejmujący opiekę nad dziećmi mieli wypłacić jej 2000 złp (zaciągając dług na hipotekę kamienicy). — Wśród zapisywanych ruchomości były i książki i „kopersztychów olejno malowanych sztuk 13", prócz obrazu Pana Jezusa. W końcu takie jeszcze zastrzeżenie: „A gdyby żonie się mojej za drugim mężem źle powodziło, krótko lub źle żyć z sobą mieli, natenczas aby żona moja a matka dzieci biedna nie była, w takowym przypadku dozwalam z części dzieci dać jeszcze złp 6000, gdy gwałtownie matkę potrzeba naciskać będzie".

O pamiętniku swoim nie napomknął w tym akcie, a takie zamilczenie ma swą wymowę. Snadź przy pożegnaniu ze światem wyzbył się próżności, o ileż bardziej szanowany w tej prostocie, niżli w sztucznej, zapożyczanej aureoli. I tak przecież należy do historii, a ta odrzucając wszystko, co tchnie wymyślną przesadą czy fałszem, niemniej oddaje mu pełną sprawiedliwość, potwierdzając sąd Korzona: „Kiliński był znakomitym obywatelem i znakomitym autorem".



Miniatura, wykonana z natury przez Karola Bechon'a, w Muzeum im. Mielżyńskich w Poznaniu.





ŻÓŁW BŁOTNY

Brunon Maske
Prof. Gimn. i Liceum w Rogoźnie Wkp.

Z ŻYCIA NASZYCH GADÓW KRAJOWYCH

Od niepamiętnych czasów człowiek ma pewne sympatie do jednych zwierząt, a antypatie do innych. W wierzeniach i religiach różnych narodów spotykamy zwierzęta dobre i złe, „czyste" i „nieczyste", a nawet „święte". Jak bardzo subiektywnym jest ten sąd, dowodzi chociażby fakt, że zwierzę, u jednych ludów „święte" i czczone, uważane bywa u innych znowuż za symbol grzechu i występku. Tak to gołąb uchodzi u nas za uosobienie łagodności i świętości, a wąż za uosobienie grzechu, gdy tymczasem u pogańskich przodków naszych, a nawet u światłych Greków był czczony i uchodził za symbol boga Eskulapa. Wogóle zwierzęta „zimnokrwiste", w szczególności gady i płazy, nie cieszą się u naszego ludu szczególną sympatią. Wielu ludzi nie potrafi nawet rozróżnić „gada" od „płaza", choć dotknięcie suchej, łuskami pokrytej skóry jaszczurki, a stale wilgotnej i nagiej skóry salamandry lub żaby od razu powinno naprowadzić na pewne istotne różnice. Lecz cóż poradzić ludziom, którzy ze zgrozą patrzą na to, jak ktoś może żabę nie tylko dotknąć, ale brać do ręki i przyzwyczaić ją z czasem do siebie, jak zwierzę domowe. Przyzwyczajmy się tylko do tworów przyrody, a i one do nas się przyzwyczają i staną się dla nas nie tylko źródłem wielu ciekawych spostrzeżeń ale i wrażeń estetycznych.

Świat gadów i płazów doby obecnej jest właściwie już tylko odblaskiem minionej świetności tych zwierząt, gdy w okresie jurajskim i kredowym one to były panami kuli ziemskiej i w niezliczonych gatunkach i postaciach przebywały w wodach, na lądzie, na drzewach a nawet szy-

bowały w powietrzu jakby olbrzymie nietoperze. Większość obecnie żyjących gatunków przypada na strefy cieplejsze, a u nas jest ich zaledwie kilkanaście.

Gady, wyróżniające się od płazów, poza innymi cechami anatomicznymi, przede wszystkim suchą, łuskami lub tarczami pokrytą skórą i brakiem przeobrażenia, mają u nas swoich przedstawicieli w jaszczurkach, wężach i żółwiu błotnym.

Jaszczurki znane z widzenia są bodaj każdemu. Jaszczurka zwinka (Lacerta agilis), najpospolitsza z nich w całej Polsce, spotyka się szczególnie na niżu, choć nie unika też podgórza; przebywa zwykle w miejscach słonecznych, więc w nasypach kolejowych, na zboczach wzgórz, między kamieniami, gdzie zawsze ma swoją norkę, od której daleko się nie oddala. Na wiosnę samiec wykazuje „ubarwienie godowe", tj. posiada boki pięknie zielone, przez co nieraz mylnie podawany bywa za „jaszczurkę zieloną", który to gatunek poniżej wspominamy. Zresztą jaszczurka posiada zasadniczo barwę ochronną, tj. ziemistego koloru z podłużnymi przepaskami i wzorzystymi centkami; ma też skłonność do tworzenia różnych odmian, z których odmiana o rdzawym grzbiecie (var. erythronota) zasługuje na szczególną uwagę i jest dość pospolita. Wymagając latem znacznej ilości promieni słonecznych jaszczurka zwinka w niewoli, tj. w terarium trzyma się tylko przez pewien okres dobrze, choć nieraz składa tam nawet w ukrytym miejscu swoje, pergaminową błonką okryte jajeczka.

Mniej pospolita i szczególnie na łąkach i w wilgotniejszych miejscach przebywająca jaszczurka żyworodna (Lacerta vivipara) jest od zwinki drobniejsza i nigdy nie zielona; za to w ubarwieniu godowym samiec jest pod spodem jaskrawo ceglastego koloru. Będąc rzeczywiście żyworodną, sięga ona w paśmie górskim, np. w Tatrach, wyżej od zwinki, której jajka są na ostry klimat wysokogórski za mało odporne.

Jaszczurka zielona (Lacerta viridis) jest największą i najrzadszą krajową jaszczurką; jest to właściwie południowo-europejski gatunek, rozszerzający prawdopodobnie powoli swój zasięg rozpowszechniania w miarę zmian klimatycznych, jak to stwierdzamy też u szeregu innych zwierząt. Od jaszczurki zwinki różni się nie tylko znacznie wielkością, ale też ubarwieniem całkowicie zielonym i żółtą stroną dolną. Piękne to zwierzątko występuje na naszych ziemiach w zwartym zasięgu tylko w południowo-wschodniej Małopolsce, a poza tym wyspami pod Warszawą, Toruniem i może jeszcze gdzieniegdzie. Celem zapewnienia się co do jej występowania w Wielkopolsce należałoby okazy takie dostarczyć z podaniem miejscowości, i to w stanie żywym w kartoniku, autorowi niniejszego artykułu pod adr. redakcji „Przeglądu Wielkopolskiego".

Jaszczurką jest również beznogi, a więc do węża podobny padalec (Anguis fragilis). Nie jest on rzeczywiście wężem z wielu względów budowy anatomicznej: nie posiada licznych luźnych żeber jak wąż, ma powieki nie zrośnięte i szkliste, ogon kruszący się łatwo jak u jaszczurki itp. Dla prostego człowieka są to niestety różnice zbyt subtelne i biedny padalec, najniewinniejszy w świecie twór Boży, często ginie pod uderzeniami kijów lub obcasami różnych wątpliwych ludzkich „bohaterów" niczym straszliwy jadowity okularnik lub grzechotnik. Na jego szczęście jest on jednak bardzo nieśmiały i przeważnie przebywa w lesie pod mchem, pod kamieniami i tylko niekiedy lubi wygrzewać swoją lśniącą brązową skórkę na słońcu. W hodowli w terarium jest on bardzo niewybredny i wytrzymały, i przy dostarczaniu mu stale świeżych dżdżownic lub ślimaków trzyma się przez długie lata. Jak jaszczurka zwinka tak i padalec ma skłonność do tworzenia odmian, m. i. występuje w odmianie o pięknych turkusowych cętkach.

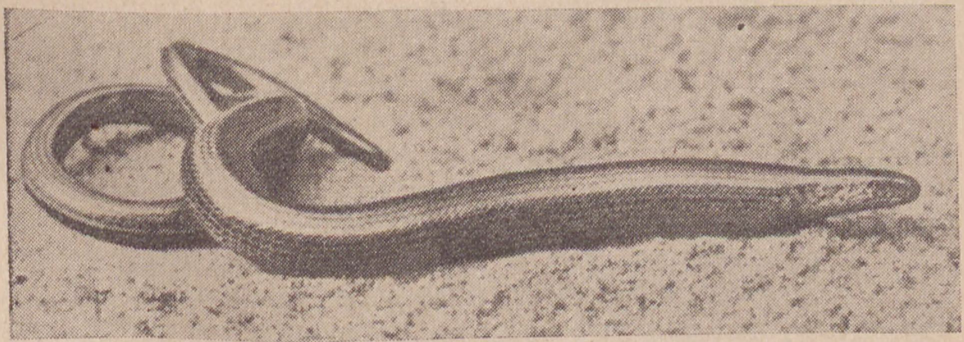
A teraz słów kilka o naszych „straszliwych" wężach i żmijach. I tu czeka amatorów słuchania różnych makabrycznych opowiadań zupełna porażka. Najpospolitszy nasz wąż, zaskroniec (Tropidonotus natrix), dochodzący do 1½ m. długości, jest nawet w takich okazach najzupełniej niewinnym tworem, dającym się śmiało schwycić ręką, mimo swego groźnego syczenia i nadętej postawy. „Parturiunt montes, mus nascitur", mówili Rzymianie: jedyną, zresztą zwykle skuteczną bronią takiego syczącego potwora jest oblanie niefortunnego poławiacza swoimi przykrymi ekskrementami. Jak większość zwierząt, tak zresztą i zaskroniec w niewoli w odpowiednio dużym terarium z wodą wkrótce się oswaja i bierze jako pożywienie żaby lub rybki z ręki swego opiekuna. Jest on u nas w zaroślach nad wodami, szczególnie jeziorami wielkopolskimi jeszcze dość pospolity i na razie nie grozi mu jeszcze wytępienie.

Rzadszą od niego jest miedzianka czyli gniewosz (Coronella laevis). Przebywa ona tylko na słonecznych wzgórzach w lasach i żywi się wyłącznie jaszczurkami i padalcami. Jest ona zewnętrznie z ubarwienia bardzo podobna do żmii, da się jednak z całą pewnością odróżnić po okrągłej (a nie wąskiej) źrenicy i wąskiej główce. Da się również brać bez obawy do ręki, choć w pierwszym czasie próbuje kąsać swoimi zresztą bardzo drobnymi i słabymi ząbkami. Z czasem staje się w niewoli również bardzo sympatycznym i wytrwałym mieszkańcem terarium. W Wielkopolsce występuje np. w lasach Parku Narodowego pod Ludwikowem jak i szczególnie na rozległych zalesionych wydmach w okolicy od Obornik aż do Międzychodu. Występowanie jej w innych odpowiednich obszarach jest również bardzo prawdopodobne.

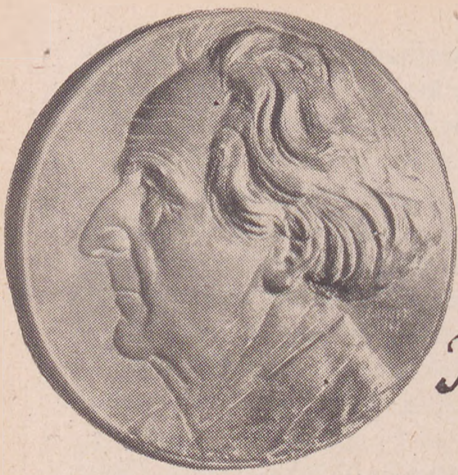
Żmija zygzakowata (Vipera berus) jest jedynym jadowitym gatunkiem z tego pokrewieństwa, chociaż i skutki jej ukąszenia, zresztą rzadko

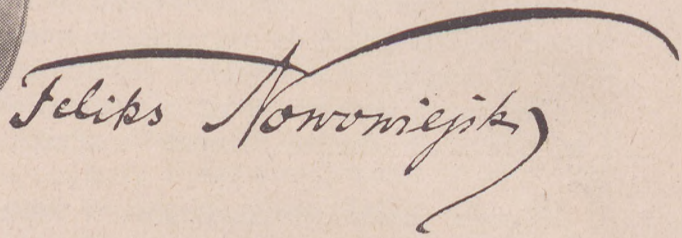
zdarzającego się, na ogół nie są poważne. Zależy to od wielu czynników, jak pory roku, wieku żmii, miejsca ukąszenia itp. Mimo to zaleca się ostrożność w obcowaniu z nią, wobec jej nieobliczalnego postępowania, przeważnie przestrachem nie złośliwością spowodowanego. W gruncie rzeczy nasza żmija jest nawet zwierzęciem pożytecznym, gdyż w znacznym stopniu tępi myszy. W niewoli trudno się trzyma, gdyż nie oswaja się i zwykle nie przyjmuje pożywienia, a zresztą z powodu swej jadowitości nie nadaje się do trzymania w amatorskich lub szkolnych terariach. Występuje ona miejscami dość pospolicie w lasach, szczególnie na słonecznych wrzosowiskach; w bliższej okolicy Poznania znana jest z terenów Biedruska jak również i z „Parku Narodowego" w Ludwikowie.

Jedynym przedstawicielem żółwi w Polsce jest żółw błotny (Emys orbicularis). Jeszcze kilkadziesiąt lat temu, przed osuszaniem rozległych bagien, był on i w Wielkopolsce nierzadki. Obecnie tylko przypadkowo zdarzy się spotkać go na wolności, tym bardziej, że jest bardzo ostrożnym i wbrew wszelkim podaniom, wcale inteligentnym i ruchliwym zwierzęciem. Z naszych terenów autor niniejszego artykułu otrzymał dorosłe okazy znad jezior w Pamiątkowie, w Sierakowie i w Chojnie. Ponieważ żółw nasz jest zagrożony w swym bycie w obecnych warunkach gospodarki, powinien być bezwzględnie chroniony: o ile go się chwyta, to nie powinien być użyty do jakichkolwiek sekcyj, lecz chyba do hodowania lub do wysadzenia w tereny, odpowiadające jego potrzebom. W niewoli w odpowiednio dużym akwaterarium trzyma się bardzo dobrze przez wiele lat; przyzwyczaja się w krótkim czasie do człowieka i bierze pożywienie, tj. kawałki mięsa, rybki, ślimaki lub dżdżownice, bez namysłu z ręki. Należy w ogóle do najsympatyczniejszych zwierząt, jakie można sobie wyobrazić.



PADALEC





Rzeźba Haupta

Śmierć Feliksa Nowowiejskiego († 18 stycznia 1946 r.) jest dla muzyki polskiej stratą wielką i niepowetowaną. Kiedy we wczesnych godzinach rannych mżystego dnia styczniowego rozeszła się wiadomość o zgonie kompozytora „Quo vadis", a nade wszystko niejako drugiego hymnu narodowego „Roty", zdawaliśmy sobie sprawę z ogromu nieszczęścia. jakie spotkało naszą kulturę narodową. Bo przecież kompozytorem, który zrozumiał i ocenił wartość polskiej muzyki narodowej, był od najdawniejszych lat Nowowiejski. „Oto pieśń duszą całego narodu polskiego" — rzekł, tworząc do wiekopomnych słów Konopnickiej pamiętną „Rotę", złożoną u stóp krakowskiego pomnika Jagiełły. A szła ta tęsknota polskiej warmijskiej duszy poprzez całe życie artysty. Już może wtenczas, kiedy w dziesiątym roku życia zaczął pisać małe salonowe kompozycje na fortepian. I znacznie później, kiedy rodzinnymi barwami wyczarował „Swaty Polskie", wtedy — kiedy pisał pierwsze swe hymny polskie, jak „Ufajcie", „Pieśń o orle", „O polski kraju święty", i później — w roku 1912 — „Żałobny pochód Kościuszki na Wawel", dalej: oratoria „Quo vadis" i „Znalezienie św. Krzyża".

Bo zważmy, młodzi kompozytorowie polscy, najczęściej biorąc wzory i reminiscencje z muzyki zagranicznej, często nie zdają sobie sprawy, że tego rodzaju prace są mało wartościowe i dla naszej kultury bez znaczenia. Kierunek narodowy muzyki Szopena i Moniuszki, widoczny czy to na samej już powierzchni ich kompozycji, czy ukryty w ich najgłębszych podstawach duchowych, przeszedł nam wszystkim w krew jako jedna z podstawowych cech kultury polskiej. Jakkolwiek niedawno jeszcze prof. Zdzisław Jachimecki dowodził, że dziewięćdziesiąt procent współczesnej nam muzyki polskiej jest świadomym lub nieświadomym „zaśpiewem na narodową nutę", to z drugiej strony wyczucie pierwiastka polskiego w kompozycjach „najmłodszych" jest dość trudne.

W czasie długoletniej tułaczki Nowowiejski nieustannie tęsknił za swoimi. Wreszcie wybiła godzina, wymodlona przez długie lata hańbiącej niewoli i mistrz na swej tęsknoty kanwie wyszył cudowną przędzę narodowej sztuki, utkawszy ją na formach w technice europejskiej — stworzył operę narodową na tle podań kaszubskich pt. „Legenda Bałtyku".

Trudno dzisiaj o syntezę twórczości i twórcy tej miary co Nowowiejski. Do niedawna jeszcze żył pośród nas i zbyt jeszcze jest nam bliski, by osięgnąć ów „patos oddalenia", o którym wspomina Nietzsche. Polskość swoją zawsze dokumentował odważnie, żyjąc wśród obcych i walcząc z przeciwnościami. Jeszcze podczas okupacji, w Krakowie, schorzały i podcięty przejściami, które nań się zwaliły, tworzył dalej wpatrzony w świetlane postacie wielkich twórców muzyki narodowej: Szopena i Moniuszki.

Urodził się dnia 7 lutego 1877 r. w Wartemborku na Warmii, w powiecie olsztyńskim. Od najdawniejszej młodości — bo już w szkole klasztornej w Świętolipkach (Warmia) — uczy się gry na kilku instrumentach; w 10 roku życia pierwsze próby kompozycji. W 17 roku życia jest członkiem orkiestry jako czelista, skrzypek i waltornista. Studia rozpoczął w 20 roku życia i to w Konserwatorium Sterna (Berlin), następnie w Królewskiej Akademii Muzycznej i na Uniwersytecie berlińskim (estetyka, historia sztuki, literatura). Po skomponowaniu kantaty „Koriolan przed Rzymem" (na solo, chóry i orkiestrę), służącej mu jako dowód wyższych kwalifikacji, zostaje przyjęty do Akademickiej Szkoły Mistrzowskiej przy senacie Sztuk Pięknych (Berlin), kierowanej przez prof. dra Maksa Brucha. W Ratyzbonie jest uczniem Akademii Muzyki Kościelnej. Od 1902—1905 r. odbywa Nowowiejski podróże artystyczne do Belgii, Francji i Włoch, jako laureat tzw. rzymskiej nagrody muzycznej imienia Meyerbeera (od senatu Sztuk Pięknych w Berlinie za oratorium „Syn Marnotrawny"). Z tego czasu datuje się znajomość z osobistościami świata muzycznego, z Perosim, Zygfrydem Wagnerem, Humperdinckiem, Tinelem, Dworzakiem, Mahlerem, Dubois, Leoncavallo, Regerem i in.

Po powrocie do Niemiec uzyskuje Nowowiejski po raz drugi powyższą nagrodę. Później zdobywa nagrodę im. Beethovena za uwerturę „Swaty Polskie" oraz nagrodę na międzynarodowym konkursie rozpisanym przez „Procure Générale de Musique Religieuse" w Arras-Paryż za utwór organowy „Méditation en Mi majeur". W 1905 r. powraca do Berlina i otwiera kursy kontrapunktu w kompozycji; w tym czasie wyjeżdża jako kapelmistrz symfoniczny i oratoryjny na gościnne występy do Brukseli, Amsterdamu, Nowego Yorku. W 1909 r. przenosi się do Krakowa, gdzie jest dyrektorem Towarzystwa Muzycznego oraz ka-

pelmistrzem symfonicznym. W tym czasie zdobył jeszcze zaszczytne nagrody: w Chicago i we Lwowie za kompozycje chórowe. 1919 roku powraca Nowowiejski z rodziną do kraju i osiada na stałe w Poznaniu, gdzie do roku 1927 zajmował stanowisko profesora Państwowego Konserwatorium Muzycznego. Odtąd poświęcił się wyłącznie pracy twórczej.

Oratoria Nowowiejskiego „Quo vadis" i „Znalezienie św. Krzyża" zdobywają sławę światową i czynią nazwisko artysty głośnym w Europie i Ameryce. Obiegły utwory te przeszło 200 miast obu półkul. Oto ważniejsze etapy tej drogi: Amsterdam, Rotterdam, Haga, Wiedeń, Budapeszt, Berlin, Lipsk, Drezno, Hamburg, Zurych, Berno, Osjak, Belgrad, Bratysława, Ryga, Dorpat, Helsinki, Baltimore, San Francisco, Filadelfia, Toronto, Boston, Cincinnati, Indianapolis, N. York; w N. Yorku Nowowiejski osobiście dyrygował „Quo vadis" w filharmonii „Carnegie Hall".

Dnia 28 listopada 1929 r. wystawiono po raz pierwszy w poznańskim Teatrze Wielkim operę Nowowiejskiego pt. „Legenda Bałtyku"*), która doczekała się w Poznaniu przeszło 50 przedstawień. Wkrótce z niemniejszym powodzeniem wystawiły ją teatry we Lwowie, Katowicach i w Warszawie. Motywem podstawowym akcji dramatycznej w „Legendzie Bałtyku" (słowa Walerii Szalay-Groele) jest miłość potężna, triumfująca, miłość młodzieńcza, ta, która łamie wszelkie przeszkody, zwycięża wszystko, ta sama przed wiekami, dziś i po wiekach wielu. Czasy te prastare — wiek IX po Chrystusie, czasy borów bezkresnych, na kaszubskim wybrzeżu Bałtyku, czasy wód niezgłębionych, ludzi potężnych i uczuć gwałtownych, kipiących pełnią życia, jak cała przyroda, wśród której żył człowiek ówczesny. Nowowiejski „Legendę Bałtyku" opanował po mistrzowsku całym aparatem, zarówno więc orkiestrą, jak i zespołami wokalnymi. Wszystko brzmi w partyturze jego opery, a skala środków muzycznych jest bardzo rozległa. Pełny sukces opery najlepiej charakteryzuje głos krytyki francuskiej*): „muzyka ta powstała z prawdziwego natchnienia o akcentach gorących i głębokim uczuciu; dzieło wybitnie słowiańskie, pełne świeżości naturalnej i głębokiej poezji, a te cechy coraz rzadziej widać w muzyce narodów zachodnich". Przez szereg lat dyrygował Nowowiejski także koncertami poznańskiej orkiestry symfonicznej.

Poza omówionymi powyżej dziełami znane są jeszcze jego oratoria „Syn Marnotrawny" i „Kościuszko"; fragmenty z oper „Emigranci", „Ondraszek" (słowa Gustawa Morcinka) i komedii muzycznej „Kaszuby"; balety „Tatry" i „Polskie Wesele"; utwory symfoniczne: symfonia h-mol, symfonia II pt. „Praca i rytm", poemat „Beatrice" podług „Boskiej

---

*) Dyrygował dyr. Piotr Stermicz-Valcrociata, reżyserował Stanisław Tarnawski, obraz sceniczny Stanisława Jarockiego.

*) Prof. Algazy w paryskim „Le Temps".

Komedii" — Dantego, dziewięć symfonii organowych; utwory fortepianowe i skrzypcowe: „Treny", „Trzy ballady", „Legenda", „Wizja"; msze liturgiczne: „Missa pro pace" (chór mieszany z tow. organów), „Stella Maria" (j. w.), „Missa de Lourdes" (j. w.), „Missa de Lisieux" (chór męski z organami), „Missa Mariae Claramontanae" (chór męski a capella), nadto liczne motety, psalmy (m. i. Psalm 136 „Ojczyzna" na chór 8-głosowy z tow. orkiestry lub organów)*), liczne madrygały, hymny, pieśni chóralne i solowe, utwory wiolonczelowe i i.

Podczas pobytu we Włoszech Południowych Nowowiejski słyszał ludowe opowiadania o śmierci Niny i sławnego kompozytora Pergolesiego. Nina, żona Pergolesiego, już w rok po ślubie umiera na dżumę w Neapolu. Leży w trumnie przed ołtarzem w kościele św. Agnieszki, a zrozpaczony mąż jej — który był organistą przy tym kościele — gra jej Requiem. Improwizuje pełen bolu, a przejęty do głębi swą tragedią kona nagle podczas improwizacji. Nowowiejski w swym ostatnim poemacie symfonicznym pt. „Nina" (opus 17, nr 2) na temacie Rinaldo di Capua snuje barwami orkiestrowymi opowiadanie o tej legendzie, wyrażając uczucia Pergolesiego i stwarzając apoteozę wielkiej miłości. Główny motyw „Niny" Nowowiejskiego znany był dotąd jako temat z pieśni „Tre Giorni" Pergolesiego; najnowsze badania muzykologów wykazały, że autorem tej pieśni jest nie Pergolesi, lecz Rinaldo di Capua*). Tyle o jednym z ostatnich utworów symfonicznych mistrza Feliksa.

W ogromie zasług dla muzyki kościelnej zamianował papież Pius XI Nowowiejskiego swym szambelanem (1935 r.), na ten rok również przypada Państwowa Nagroda Muzyczna; w rok później otrzymuje komandorię orderu Polski Odrodzonej. W 1931 r. „The Organ Music Society" w Londynie nadaje naszemu kompozytorowi członkostwo honorowe, w uznaniu jego twórczości organowej.

Z Feliksem Nowowiejskim zeszedł do grobu ostatni wielki romantyk gry organowej, płodny kompozytor narodowy, wskrzesiciel polskiej muzyki kościelnej, człowiek pięknej duszy i wzniosłego czynu. Śmierć jego okryła żałobą cały polski świat muzyczny. Wolno w odniesieniu do niego przytoczyć słowa wypowiedziane przez Sikorskiego o Szopenie: „Błogosławione pokolenie, z którego wyszedł łona; błogosławiona i ziemia, która go swymi kołysała pieśniami, swoim karmiła chlebem, a nowy dar do tylu innych dodawszy, ludzkości go posłała".

Spoczął na sen wieczny w krypcie zasłużonych na Skałce poznańskiej, obok Józefa Wybickiego, twórcy „Jeszcze Polska nie zginęła".

---

*) Prawykonanie dnia 2 października 1938 r. na otwarciu Tygodnia Muzyki Polskiej, w poznańskim Teatrze Wielkim, pod batutą kompozytora.

*) Prawykonanie „Niny" w Poznaniu 4. II. 1936 r. przez miejską orkiestrę symfoniczną pod batutą kompozytora.



PROF. STANISŁAW PAWŁOWSKI

Dr Kazimierz Tymieniecki
Prof. Uniwersytetu Poznańskiego.

Z OSTATNICH DNI PROF. STANISŁAWA PAWŁOWSKIEGO

Z kolegów uniwersyteckich zmarłego tragicznie profesora i byłego rektora Uniwersytetu Poznańskiego śp. St. Pawłowskiego byłem ostatni, który z nim bezpośrednio obcował. Znajomość nasza sięgała kwietnia 1919 r., tj. okresu tworzenia ówczesnego wydziału filozoficznego naszego uniwersytetu. W latach następnych, również po przeprowadzonym podziale wydziału, spotykałem się z nim niejednokrotnie w pracach naukowych i społecznych. Miał on swych przeciwników z powodu, jak słusznie zauważono, nieustępliwości i pewnej nawet bojowości charakteru. Uznanie jednak dla jego pracy i talentów organizacyjnych znalazło swój najlepszy wyraz w jednogłośnym wyborze go na rektora w r. 1933. Nie zawiódł też tych, którzy tak zgodnie na niego głosowali.

W tragicznym wrześniu r. 1939 wyjechał z ramienia władz uniwersyteckich do Jarosławia nad Sanem w celu przygotowania na miejscu odpowiednich pomieszczeń dla naszej uczelni. Gdy akcja ta okazała się spóźnioną wrócił do Warszawy, a stąd w okresie bombardowania mia-

sta udał się w Siedleckie. Ludności tej ziemi nie mógł się potem nachwalić z racji jej dobroci i pomocy okazywanej wychodźcom. Z wypadkami wojennymi stykał się nieraz blisko. Widział też jaskrawe wypadki nadużyć ze strony osób należących do armii niemieckiej w stosunku do ludności, o czym później mi opowiadał. W drodze powrotnej ominął Warszawę. Po przybyciu do Poznania przez parę dni przebywał na wolności. Aż wreszcie przyszło aresztowanie.

O pobycie jego w więzieniu na Młyńskiej wiedziałem już w parę dni po moim tam przybyciu, tj. po dniu 5 października. Wśród kolegów, w liczbie pięciu, znajdujących się w „profesorskiej" celi nr 44, mówiono o przeniesieniu do nas prof. Pawłowskiego i zapytywano niższe władze więzienne w tej sprawie, a podobne starania on sam czynił, ale też bezskutecznie. Wpływ zacnej sekretarki więziennej z dawnego jeszcze personelu polskiego widocznie w tym wypadku nie wystarczał. Tymczasem „uprzywilejowana" cela została zlikwidowana, a po wypuszczeniu na wolność innych kolegów już sam tylko znalazłem się w znacznie cięższych warunkach w innej celi (nr 52). Tu właśnie w dniu 14 października skierowany został prof. Pawłowski. Nastąpiło to w godzinach popołudniowych. Ponieważ wszystkie „prycze" były już zajęte, prof. Pawłowski musiał przez szereg dni spać na ziemi. Wobec ciasnoty i panującej „atmosfery" było to rzeczą przykrą. Z pierwszej z nim dłuższej i bardziej poufnej rozmowy przekonałem się, że wypadek prof. Pawłowskiego nie należy do tych, w których kilkunastodniowe więzienie było jak gdyby „grypą", którą przechodzi się w pewnych porach roku, jak to nazywaliśmy w rozmowach ze zwolnionymi kolegami. Wprawdzie sam fakt „winy" z punktu widzenia jakiegokolwiek dotychczas obowiązującego prawa państwowego czy międzynarodowego był mocno problematyczny. Ale w warunkach, w jakich znaleźliśmy się od chwili okupacji, obrona mogła być utrudniona. A było to tak, według opowiadania samego więźnia. W marcu r. 1939 odbyło się w Poznaniu zebranie polityczne na którym, zaproszony do tego przez organizatorów, wygłosił prof. Pawłowski odczyt o rozsiedleniu Niemców w Polsce. Po odczycie, który zainaugurował zebranie, wywiązała się dyskusja polityczna i zapadły pewne rezolucje, nieprzychylne dla Niemców. Prof. Pawłowski słusznie się bronił, że wnioski do tych rezolucji nie wyszły od niego. Ale dla ustalenia tego potrzebne było zeznanie przewodniczącego zebrania, a tego nie było obecnie w Poznaniu. W związku z tym prof. Pawłowski rozważał cały szereg możliwości. A więc czy przewodniczący odnajdzie się i kiedy, oraz czy złoży ściśle odpowiadające rzeczywistości zeznania? Lub też czy przy tych zeznaniach nie załamie się i nie „wsypie" profesora? A do tego czasu nie było nadziei na uwolnienie. Wprawdzie samo zdarzenie miało miejsce na pół roku przed wy-

powiedzeniem wojny, a więc w wolnym i uznanym przez Niemcy państwie polskim obowiązywały nasze a nie niemieckie ustawy. Wypadek ten nie dał się więc w żadnym razie podciągnąć pod przekroczenia wobec faktycznie pełniących swe funkcje władz okupacyjnych. Ale prawo narodowo-socjalistyczne nie uznawało widocznie podobnych ograniczeń w stosunku do interesu osób należących do narodowości niemieckiej. Ogromna większość spraw dotyczących „wrogiego sposobu myślenia" wobec Niemców, które teraz wypłynęły, odnosiła się też do okresu przedwojennego. Nastrój prof. Pawłowskiego w jego własnej sprawie był pesymistyczny. Nie spodziewał się on rychłego jej załatwienia i był przygotowany duchowo na dłuższe pozostanie w więzieniu. Od chwili, gdy z manatkami pod pachą zjawił się w naszej celi, poddał się ze stoicyzmem swemu losowi i zajął miejsce w ciasnym przejściu na wykładanym na noc sienniku. Ponieważ aresztowanie jego nastąpiło niespodziewanie, brak mu było najkonieczniejszych toaletowych drobiazgów, w czym naturalnie starałem się mu pomóc. Wieczorami, ponieważ siennik prof. Pawłowskiego leżał tuż przy mojej pryczy, rozmawialiśmy nieraz dość długo. Tematy wojenne nie były jedynym tematem naszych rozmów.

Władze nasze prof. Pawłowski oskarżał bardzo gwałtownie z powodu popełnionych przez nie błędów. Nie wierzył w to, ażeby Anglia mogła prowadzić dalej wojnę w naszym tylko, jak sądził, interesie. Przewidywał porozumienie się Anglii i Niemiec w niedalekiej już przyszłości. W odzyskanie przez Polskę całkowitej niepodległości nie wierzył. Podniósł też, że rozwój epoki obecnej idzie w kierunku tworzenia wielkich imperiów światowych. W związku z tym przypuszczał, że będziemy w przyszłości uzależnieni od Niemiec. Z poglądami tymi nie występował zresztą zbyt chętnie i jako poufne je traktował. Stopniowo jednak przechodziliśmy na inne tematy. Prof. Pawłowski, jako geograf, dużo podróżował i dużo widział. Umiał też opowiadać i opowiadał chętnie. Z podróży swych przywoził zbiory naukowe i bardzo liczne zdjęcia fotograficzne. Zbiory te, w przewidywaniu wybuchu wojny, wysłał do Krakowa. Prawdopodobnie zaginęły w drodze. Także jego dobrze zaopatrzony instytut geograficzny uległ zniszczeniu. Książki i drogie wydawnictwa zabierali Niemcy z półek, według posiadanych przez niego relacji, zupełnie dowolnie. On sam nie miał w ogóle dostępu do swego zakładu. Część zbiorów i biblioteki wyrzucano po prostu na podwórze. — Nasze rozmowy poufne zamieniły się następnie na ogólne. Przeznaczone były na to wieczory, gdyż wtedy mieliśmy najwięcej spokoju od różnych niepożądanych odwiedzin. W dzień prof. P. chętnie pisywał podania dla swych towarzyszy z celi. W grupie mieszkańców naszej celi tworzyliśmy zespół bardzo zżyty. Cieszyliśmy się z każdego wypadku

uwolnienia. A nie zdawaliśmy sobie jeszcze sprawy, że wypuszczenie na wolność w wytworzonych warunkach nie stanowiło rozwiązania. Zmiany w składzie osobistym naszej celi następowały niejednokrotnie i nie zawsze oznaczały uwolnienie więźniów. Do gorzej traktowanych należał zwłaszcza elektrotechnik Lange, z ulicy św. Marcina, lat około 30, następnie wywieziony do Niemiec. Z przesłuchów wracał zawsze ciężko wysmagany rzemiennymi pejczami. Prof. Pawłowski pełnił wówczas przy nim rolę głównego Samarytanina, przygotowując mu okłady z ręczników. Żyliśmy też wiadomościami więziennymi. Kronika ta, oczyszczona z plotki, była niekiedy nad wyraz interesująca. Do najbardziej emocjonujących należały wiadomości o dokonywanych rozstrzelaniach, które, zdaje mi się, miały miejsce poza murami więziennymi. W czasie krótkich przechadzek więziennych mieliśmy też pole do licznych obserwacji. Najbardziej upamiętniło się sponiewieranie w naszych oczach polskiego pastora ewangelickiego przez naszego wachmistrza więziennego.

Zdrowie prof. Pawłowskiego przedstawiało się przez czas mojego z nim pobytu na ulicy Młyńskiej dobrze. Nie przypominały się dawniejsze cierpienia sercowe. Dłużej też od wielu innych, zwłaszcza spośród starszych, wytrzymywał spacery na podwórzu więziennym, które zmieniły się stopniowo w bezmyślną i idiotyczną mustrę według wzorów w żadnym regulaminie mustry nie przewidzianych, a będących własnym wymysłem naszego wachmistrza, czyli naszej przełożonej władzy.

Do rzeczy niedozwolonych należała, prócz uprawianej przez nas gry w szachy, też gimnastyka szwedzka, w której prof. Pawłowski celował i był u nas głównym dyrygentem. Nie dał się nigdy prześcignąć w dokładności przy rannym sprzątaniu pokoju, a jego pomysłem było przewietrzenie celi przy pomocy tzw. młynkowania ręcznikami. — Regulamin więzienny znosił bardzo dobrze i nie wzdrygał się przed najpośledniejszymi czynnościami. Okazał się człowiekiem silnym, jak tego można było się po nim spodziewać. Mógł innych jeszcze podtrzymać. Rozstałem się z nim w dniu 22 listopada wieczorem, tj. w dniu mojego zwolnienia z więzienia. Przewieziony podobno na fort VII został tam w styczniu r. nast. zamordowany.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Gustaw Potworowski: 1800 — 1860. Poznań 1939. Napisał Franciszek Szafrański.

W lecie 1939 r. zdążyła jeszcze wyjść z druku biografia człowieka, który był współpracownikiem a później następcą Marcinkowskiego w przewodzeniu życiu Poznańskiego.

Żywot ten był podobny do wielu innych mu współczesnych, może mniej efektowny i pozbawiony legendy, ale przecież bogaty, ruchliwy i owocny.

W młodości wychowanek przesławnego gimnazjum im. Marii Magdaleny, następnie student — konspirator w *Polonii* pod kierunkiem Marcinkowskiego, wreszcie uczestnik wojny w 1831 r., udekorowany krzyżem Virtuti.

A po tym okres działania w przedsięwzięciach „organicznych" tej wagi, co Kasyno Gostyńskie, Bazar, Towarzystwo Pomocy Naukowej i szereg towarzystw rolniczych. Równolegle bronił interesów polskich w dziedzinie szkolnictwa i języka na sejmach prowincjonalnych, a interesów ziemiańskich w Ziemstwie Kredytowym. Ogarniając coraz szerszy krąg prac, stanął na czele I Centralnego Tow. Rolniczego w 1844/5 r., później na czele Ligi Polskiej 1848—50 r., stanowiącej pierwszą wielką próbę legalnego własnego kierownictwa życiem polskim w ówczesnym zaborze pruskim. Uczestniczył w poznańskim Komitecie Narodowym w powstaniu 1848 r. a następnie kierował zręcznie, wydajnie i z godnością pracami poselskiego Koła Polskiego w Berlinie. Urodzony jednoczyciel i nawoływacz do zgody, podjął też nieudałą próbę doprowadzenia do konsolidacji emigracji polskiej.

Mimo licznych podróży był jeszcze ochoczym rozjemcą w sporach sąsiedzkich, doradcą w kłopotach majątkowych, opiekunem sierot i rodzin, hojnym filantropem, wzorowym gospodarzem. Urodzony wprost przewodniczący stowarzyszeń i przedsięwzięć, o wielkiej delikatności i takcie, był rzeczowym i sumiennym znawcą spraw gospodarczych i administracyjnych, zarówno planującym pracę jak i rzetelnie wykonywującym. Wytrwały i systematyczny, liczył zamiary na siły. Płomień poświęcenia i służby obywatelskiej tlił w nim ciągle równo od młodości do zgonu. Rozsądek polityczny i realizm podyktował mu to znamienne wyznanie: „...to tylko wiem, że działając (czynię) to jedynie dla Polski, a nie dla żadnego innego zagranicznego stronnictwa, które niestety robią u nas hasła rozdwojenia na własnej ziemi, między własną bracią, a z których tylko wrogi nasze korzystają ... nie narzucajmy nikomu tego lub owego przybliżonego rachunku niepewnych zagranicznych widoków, a weźmy się ściśle do sumiennego rachunku naszych pewnych wewnętrznych robót, myślmy o jedności w pracy koło bezpośredniego i bliskiego dobra kraju..." A gdy w końcu kwietnia 1848 r. Libelt nawoływał do walki z Prusakami, Potworowski ostrzegał przed wydaniem „biednych, którzy nic mają nic więcej prócz kos..., na rzeź niechybną... jeżeli mamy zginąć my, to lepiej urządźmy rewolucję w Poznaniu, barykady! Padnie nas kilkunastu dla honoru, ale po co gubić tych chłopów, co stoją w obozie", którym „obiecaliśmy, że będzie Polska".

Pracę omawianą cechuje prawie idealne wyczerpanie materiału oraz zwięzłość i prostota przedstawienia. Tak dojrzała, gruntowna i sumienna praca P. Szafrańskiego *wniosła mocną, rzetelną pozycję do* cyklu *Życiorysów zasłużonych Polaków XVIII i XIX w.*, zapoczątkowanych przez prof. A. Skałkowskiego. Warto przypomnieć, że w bieżącym roku przypada 100-lecie zgonu Marcinkowskiego!

Dr W. Jakóbczyk

Leon Kaczmarek: O prawo życia dla Łużyczan. Jarocin 1945, str. 28.

Po przeczytaniu tej książeczki czytelnik został przez autora przekonany, że jest

powód dopominania się o prawo życia dla Łużyczan. Dzieje tego plemienia stały się żywym symbolem walki Słowiańszczyzny z napierającą na Wschód niemczyzną. Rozmiary tej walki ustala autor w pierwszej części swej pracy. Najpierw w krótkim rzucie ujmuje dzieje polityczne Łużyczan, po tym nieco obszerniej charakteryzuje metody niemczenia, stosowane wobec nich przez żywioł niemiecki, który z przeznaczenia dziejowego jest od wieków panujący na tej ziemi. Druga część pracy określa przebieg i formy obrony, podejmowane przez Łużyczan w celu zachowania istnienia narodowego; wśród walczących o ich byt narodowy spotykamy też parę nazwisk polskich.

Zainteresowanie kwestią łużycką w Polsce, choć może nie jest tak intensywne, jak w sąsiednich Czechach, było mimo wszystko dość znaczne. Interesowaliśmy się losem tego bratniego szczepu w czasach rozbiorowych, gdy sami walczyliśmy o swój byt narodowy, interesowaliśmy się nimi jeszcze więcej po odzyskaniu niepodległości, lepiej niż inni rozumiejąc jej znaczenie dla rozwoju życia narodowego. W związku z tym warto przypomnieć, że i Przegląd Wielkopolski w jednym z swych ostatnich przedwojennych numerów zamieścił artykuł Jarowita Wręgi pt.: Łużyczanie, w którym autor, cytując rozmowę swoją z jakimś Łużyczaninem wypowiada obietnicę, która dziś bliższa wydaje się nam realizacji, niż była nią w r. 1939: „Zapewniłem go — pisze Wręga, — że zbliża się rozprawa świata germańskiego ze światem słowiańskim i że myśl Chrobrego żyje w narodzie polskim, który w chwili dziejowej pamiętać będzie o nieugiętych i dzielnych Łużyczanach“ (nr 7/8 za rok 1939).

Praca Kaczmarka przypomina, że nadszedł ostatni czas ratunku dla Łużyczan. Ratunek ten w tej czy innej formie znaleźć się powinien; winien on być w każdym razie tak pomyślany, ażeby zachował resztki tego rzeczywiście nieugiętego i bohaterskiego plemienia na przykład i zachętę dla całego świata słowiańskiego. Myśl tę trafnie formułuje sam autor pisząc: „Nie jest w tej chwili ważne, czy Łużyce staną się państwem niepodległym, czy też wejdą w skład Czechosłowacji względnie Rzeczypospolitej Polskiej. Wagę ma jedno tylko: wyłączenie tego terenu z Rzeszy oraz zajęcie i żelazne przeprowadzenie hasła, które narzuca nam instynkt obronny, mianowicie RESLAWIZACJA Serbo-Łużyc“.

Jeżeli postulat ten nie zostanie jak najrychlej — a nie widać momentu, kiedy był by aktualniejszy z jednej strony, a do przeprowadzenia łatwiejszy, niż dziś z drugiej — może się stać, że nasi wnukowie będą się o Łużyczanach dowiadywać z podręczników historii, tak jak my o dziejach Weletów i Obodrytów.

Jarociński oddział PZZ bardzo zasłużył się kwestii łużyckiej w Polsce, wydając nadwyraz inteligentnie i przystępnie napisaną broszurę L. Kaczmarka.

Dr Gerard Labuda

Przegląd Zachodni — miesięcznik — wyd. Instytutu Zachodniego, Poznań, Rok I, nry 1—6.

Mamy przed sobą periodyk, z którym w chwili obecnej żadne inne z pism polskich mierzyć się nie może wielkością roli i zadań, gdyż są one na miarę historyczną.

Po drugiej w dziejach zdecydowanej klęsce niemczyzny trzeba nam, wyciągnąwszy naukę z dramatycznej naszej przeszłości, baczyć, aby tym razem nie uronić owoców zwycięstwa, aby w rozgwarze codziennego życia tysiące spraw mniej ważnych nie oderwały uwagi narodu od Sprawy, abyśmy nie przefrymarczyli hekatomby krwi pięciu wieków, abyśmy następnemu pokoleniu, naszym synom i córom nie przekazali miast złotego rogu — sznura.

„Jest elementarnym wskazaniem politycznym stwierdzenie, co jest najważniejszym zagadnieniem chwili i zwrócenie wszystkich sił ku osiągnięciu tego celu“, czytamy w artykule programowym, zatytułowanym „Grunwald“. „Takim celem

najwyższej miary jest odzyskanie tych ziem rdzennie polskich, które w toku dziejów znalazły się we władaniu niemieckim, odzyskanie Pomorza Zachodniego, ziemi lubuskiej i Śląska, jak również wcielenie do Polski obszarów wschodnio-pruskich. Polityka polska musi dążyć do tego, ażeby ze społeczeństwa polskiego wydobyć wszystkie jego aktywne siły... Dla tego celu koniecznym jest obudzenie w społeczeństwie polskim niezbędnych stanów emocjonalnych."

Służąc tak wielkiej sprawie, Przegląd Zachodni nieci ognisko myśli i uczuć, potencjał rozumnych energii, licząc na to, iż zapłodni ono, zapali i poruszy najaktywniejszą myślącą i działającą część narodu, która z kolei do mądrego czynu porwie i poprowadzi milionowe rzesze. Inaczej też być nie może.

Wróg powalony nie przestał być niebezpieczny. Trzeba go poznać do głębi, przeniknąć jego psychikę i zamiary, aby zawczasu usuwać jady myśli i udaremniać próby podstępów. Jasny snop światła na psychikę niemiecką rzucają prace B. Suchodolskiego (Dusza niemiecka w świetle filozofii) oraz T. Tomaszewskiego (Niemieckie badania porównawcze nad psychologią Polaków i Niemców).

Pełne odzyskanie ziem zachodnich stanie sie faktem dopiero wówczas, kiedy ziemie te, ich wsie i miasta zapełnione będą ludnością polską, przywiązaną do nich uczuciem oraz związaną z nimi pracą na roli, w fabryce, warsztacie; kiedy ludność ta polska wytwarzać będzie tam dobra i wymieniać je przy pomocy rozbudowanego aparatu handlowego z resztą ziem polskich i zagranicą. Racjonalnym metodom i drogom podboju ludnościowego i gospodarczego tych ziem poświęcone są artykuły M. Kiełczewskiej i L. Glucka (Zagadnienia akcji migracyjnej na Ziemiach Zachodnich), A. Grodka (Zagadnienie kolonizacji miejskiej Ziem Odzyskanych) oraz J. A. Wildera (O racjonalną politykę gospodarczą na ziemiach odzyskanych). Przebudowie systemu komunikacyjno-handlowego Polski w nowych jej granicach poświęcone są prace: J. Zdzitowieckiego (Bałtyk) oraz L. Glucka (Gdańsk — Gdynia — Szczecin). Na wartości wszystkich prac ciąży jednakże brak aktualnych i pewnych materiałów statystycznych, który tylko stopniowo będzie mógł być usuwany.

Baczna uwaga narodu skierować się musi na umocnienie naszych granic zachodnich przez nadanie im cech żywiowości i stałości. Niedostatecznej zaś znajomości potrzeb naszego narodu przez potęgi zachodnie oraz wrogiej propagandzie odpowiadać musi z naszej strony prędka, jasna i udokumentowana należycie odpowiedź. Takie zadanie właśnie spełnia artykuł opracowany pod redakcją Z. Wojciechowskiego przez M. Kiełczewską, L. Glucka i Z. Kaczmarczyka (O lewy brzeg środkowej i dolnej Odry) oraz J. Winiewicza (Dokoła nowej granicy polsko-niemieckiej), a także artykuł L. Gustowskiego (Pomorze Zachodnie między pierwszą a drugą wojną światową 1918—1945). Wciągnięcie w krąg zainteresowań naszego narodu sprawy Łużyczan jest uzasadnione nie tylko słusznością moralną i cechującą Polaków poczuciem sprawiedliwości, lecz także względami politycznymi, gdyż Łużyczanie sąsiadują z nami, dzieląc nas na niemałej przestrzeni od Niemców.

Nie chęć zemsty, lecz nieustanną czujność narodu utrzymywać mają artykuły rejestrujące krzywdy i straty, spowodowane przez Niemców: Z. Lisowskiego (Straty naukowe Poznania), E. Romera, M. Kiełczewskiej i B. Krygowskiego (Wspomnienia o śp. Stanisławie Pawłowskim) oraz materiały, dotyczące zbrodni niemieckich.

Aby myślom naszym i działaniom nadać linię polityczną nie doraźną, lecz prawdziwie historyczną, uczy „Przegląd" historycznymi oczami patrzeć i oceniać czasy i czyny. (Artykuły Z. Wojciechowskiego: Grunwald, Przeszedł przez morze, Hołd Pruski).

„Przegląd Zachodni" dobrze zasługuje się Sprawie. Niechże sięga po niego każdy,

kto czuje się powołany do rządzenia, do nauczania i wychowywania, do wpływania na opinię publiczną. Niech studiuje prace w nim ogłoszone, aby „Przegląd Zachodni" spełnił swe zadanie, jakie spełnić może.

Dr W. Ostrowski

Feliks Zalachowski: Gusen obóz śmierci. Poznań 1946. Związek byłych więźniów politycznych.

Martyrologia narodu naszego w dobie wojny ostatniej znalazła niewątpliwie swój skrajny wyraz w osławionych obozach śmierci, które okupant niewinnie nazwał obozami koncentracyjnymi. Już same nazwy ich, jak Oświęcim, Majdanek, Dachau czy Gusen budzą grozę, a cóż dopiero opisy przeżyć za ich drutami, gdzie co dnia i godziny czyhała śmierć i stokroć gorsze od niej męczarnie i nieludzkie tortury. Ponury ten rozdział w dziejach ludzkości XX wieku stworzy niewątpliwie osobną kartę w pamiętnikarstwie i literaturze naszej, a już dziś pojawiają się pierwsze jaskółki, głoszące cały tragizm przeżyć obozowych. Autor był jednym z tych, którzy jako pierwsi zostali wywiezieni najpierw do Dachau, a następnie do Gusen, gdzie przyszło odegrać im smutną rolę pierwszych tego obozu mieszkańców, którą po straszliwym zdziesiątkowaniu zamieniono na rolę weteranów. Ten kilkuletni pobyt od samego zarania obozu aż do jego likwidacji w roku 1945, kiedy obwieszczono więźniom anielskie słowa: „You are free", uprawnia go zatem jako mało kogo do roli kronikarza, albo historyka dziejów obozu. Autor wybrał rolę drugą. W syntetycznym skrócie skreślił całą historię Gusen bez zagłębiania się w szczegóły a nawet w własne przeżycia, które zupełnie usunął w cień, aby nie zaciemniać nimi obrazu całości. Czy dobrze uczynił, trudno powiedzieć. Może dziś, gdy nieznane są jeszcze wszystkie szczegóły jak i rozmiary potwornych mordów, stosowniejszym byłoby kronikarskie ujęcie wypadków z uwzględnieniem zarówno własnych wspomnień jak i towarzyszy, lubo wówczas siłą rzeczy musiałaby książka rozrość się do rozmiarów znaczniejszych, na co zapewne nie było funduszów. Jeśli więc chodziło tylko o krótki rys historyczny, autor swoje zadanie spełnił w zupełności. Należy wszak życzyć sobie, aby na tym nie poprzestał. Długoletni pobyt w obozie, dokładna znajomość jego dziejów, a wreszcie dar pisarski predystynują go do podjęcia rozleglejszych badań. Jeśli sięgnie zarówno do własnych wspomnień, jak i wykorzysta relacje współwięźniów, zebrane najlepiej drogą ankiety, stworzy niewątpliwie dzieło, mogące liczyć na stałą pozycję w naszej literaturze dni ostatnich.

Dr Z. Grot

Ziemie Odzyskane w ilustracji. — Pierwsza seria pocztówek — Wydawnictwo Instytutu Zachodniego w Poznaniu.

Nie zwiąże się z krajem odzyskanych obecnie po tylu stuleciach ziem zachodnich, jeśli w ślad za przejęciem administracji nie pójdzie gruntowne poznanie ich przeszłości, zabytków i krajobrazu. Bądź co bądź dopiero wtedy zrozumie się cały sens i walor ich pozyskania i pojmie równocześnie na śladach polskości tam dotąd zachowanych dawną naszą prężność kulturalną, na której i w przyszłości oprzeć się przyjdzie, jeśli nie będzie się chciało uchodzić za nowobogackich, którzy nie uznają tego, co było przed nimi a świat dopiero od swej pragnęliby datować doby. Instytut Zachodni, wydając ostatnio pierwszą serię widokówek Ziem Odzyskanych tę prawdę jak gdyby pragnął unaocznić a zarazem pokazać ogółowi ile pracy włożyły pokolenia naszych praojców w kraje, które dziś powracają na ojczyzny łono.

Rozpatrując wydawnictwo pocztówek pod aspektem historycznym należy wskazać nasamprzód na widokówki ilustrujące czasy Bolesława Chrobrego. Pierwsza z

nich przedstawia wyrazisty portret córki tego monarchy Regelindy — wydanej za Hermana syna margrabiego Miśni Ekkeharda, zamordowanego w roku 1002, kiedy na równi z Henrykiem II domagał się tronu cesarskiego. Portret ten stanowi motyw posągu w katedrze naumburskiej. Druga, przedstawia widok pięknej stolicy Łużyc Budziszyna, gdzie ongiś w roku 1018 po długich z Niemcami zapasach zawierał Chrobry zwycięski pokój z Henrykiem II, przyznający Polsce Miśnię i Łużyce. Dwie dalsze przypominają swoją treścią również wielkie dni naszych dziejów za Chrobrego. Stanowią reprodukcję płaskorzeźb na drzwiach spiżowych fundowanych przez Bolesława Krzywoustego dla katedry gnieźnieńskiej i przedstawiają sceny z życia i działalności św. Wojciecha, gdy ten za sprawą Chrobrego próbował nawracać Prusaków i śmierć męczeńską poniósł. Następne przenoszą widza na nasz polski Śląsk piastowski, gdzie przed wiekami bujnie wrzała polskość, dopóki jej nie zaprzepaścili niegodni Krzywoustego następcy a do reszty nie wytępili Prusacy z pod znaku Starego Fryca, Bismarcka i Hitlera. I tak Henryka Brodatego, który mimo przejęcia się kulturą niemiecką lgnął jeszcze do Polski, przypomina pieczęć starodawna, żonę jego założycielkę klasztoru cystersów w Trzebnicy, św. Jadwigę księżnę wrocławską — reprodukcja płyty grobowej w wspomnianym kościele klasztornym, gdzie księżna ta po dokonaniu zbożnego żywota, spoczęła w grobie. Po tym idą widoki katedry wrocławskiej św. Jana, dziś zniszczonej, kościoła Św. Krzyża (dawn. Kreuzkirche), zbudowanego w końcu XIII w. przez Henryka IV Probusa wraz z pięknym tegoż księcia — minnesängera grobowcem, kościoła św. Wojciecha, fundowanego w XII w. przez brata Piotra Włosta a wzniesionego na nowo w wieku XIII po najazdach tatarskich, wreszcie starej płaskorzeźby, przedstawiającej żonę i syna Włostowica, gdy ofiaruje Najśw. Marii Pannie kościół zwany „Na piasku" (Sandkirche).

Warmia i Mazury reprezentowane są częściowo krajobrazem (jezioro Belden i Nidzkie), częściowo dawnymi zabytkami, z których dwa przypominają wielkiego Kopernika (katedra w Fromborku, zamek kapituły w Olsztynie), jeden poetę i biskupa Krasickiego (krużganek w zamku biskupów warmijskich w Lidzbarku), a ostatni ucisk Polaków z doby ostatniej, kiedy to władze hitlerowskie odebrały kościół św. Jakuba w Olsztynie, pamiętający jeszcze czasy dawnej Rzeczypospolitej. W dalszym ciągu widać stary spichlerz szczeciński nad brzegiem Odry, kościół Najśw. Marii Panny w Słubicach oraz wał grodziska w Santoku.

Ten krótki przegląd pierwszej serii pocztówek poświęconej Ziemiom Zachodnim świadczy o dużym i głębokim zrozumieniu przez kierowników Instytutu Zachodniego problemu zrastania się Polski dawnej z jej nowo przypadłymi krajami, opartego nie tylko na kategoriach aktualności. Niech nam te pocztówki przypomną, że i przed wiekami kwitnęło tam polskie życie i że tę spuściznę należy uszanować. Pogłębiać kult dla włożonej tam pracy przodków, związać się uczuciowo z krajem, gdzie leżą prochy naszych praojców a równocześnie obudzić na nowo tam życie i twórczość polską — oto zadania naszego pokolenia.

Dr Zdzisław Grot

Józef Widajewicz: Niemcy wobec Słowian połabskich. Wydawnictwo Instytutu Zachodniego, Poznań 1946, str. 63 i 1 nlb. in 16⁰.

Badania nad dziejami Słowian połabskich w Polsce znajdują się jeszcze ciągle w powijakach. Żaden z polskich zakładów naukowych nie posiada kompletów wydawnictw źródłowych ani podstawowej literatury, przeważnie niemieckiej, z tego zakresu. Dlatego każda praca, poruszająca u nas zagadnienia zachodnio-słowiańskie, z konieczności musi się ograniczyć do podsumowania faktów, ustalonych przez historiografię niemiecką; wkład badawczy uczonych słowiańskich, pomijając kilka

pierwszorzędnych nazwisk jak W. Bogusławski, Lubor Niederle, Kadlec, A. Brückner i ks. Kozierowski, nie dorasta miary, którą zagadnienie to, zwłaszcza dziś, u nas wywołuje. Stan ten prawdopodobnie nie ulegnie zmianie tak długo, dopóki pracą własnych ośrodków naukowych, zaopatrzonych w najniezbędniejsze pomoce naukowe, nie stworzymy dzieł oświetlających te sprawy z naszego, słowiańskiego punktu widzenia. Nim to nastąpi, odpowiadając „zamówieniu społecznemu", musimy się kontentować tym, co nam nasi badacze, pracujący w dość skomplikowanych z punktu widzenia naukowego warunkach, mimo to dać potrafią.

Książeczka prof. Widajewicza, pierwszego uczonego, wykładającego na naszych uniwersytetach historię Słowiańszczyzny zachodniej, należy do wydawnictw popularnych Instytutu Zachodniego. Mimo zaznaczonych wyżej trudności technicznych odpowiada ona wszelkim wymogom naukowym, jakie wydawnictwom tego rzędu zwykliśmy stawiać. Obok widocznej znajomości przedmiotu, podkreślić należy przede wszystkim jasność i potoczystość wykładu. Drugą niemniej ważną zaletą jest konstrukcja pracy. Ogranicza się ona tylko do omówienia dwu zagadnień, za to pierwszorzędnych, mianowicie parcia Niemców na wschód *(Drang nach Osten!)* oraz germanizacji krajów połabskich. Jedyny zarzut, jaki by jego sposobowi ujęcia można było postawić, to zbytnia szczupłość przedstawienia tych kwestii. Prof. Widajewicz ogranicza się bowiem tylko do „opisania" wydarzeń historycznych, towarzyszących temu parciu na wschód już od czasów Karola Wielkiego, pomija zaś milczeniem wzgl. nie przywiązuje większej wagi do określenia przyczyn, które ten proces historyczny wywołały. W ujęciu popularnym czytelnik chce najczęściej wiedzieć, nietylko to, „jak było", ale również, dlaczego i z jakich przyczyn było. Rozwinięcie wykładu w obu tych kierunkach daje mu dopiero substrat myślowy do wyrobienia sobie własnego poglądu na rzeczoną sprawę[1]). Podobnie ma się rzecz także i w drugim wypadku, gdzie prof. W. zajmuje się zagadnieniem germanizacji krajów połabskich, prawie wyłączny nacisk kładąc na przebieg procesu germanizacyjnego, mniej zaś zastanawia się nad warunkami materialnymi i duchowymi, które proces ten wywołały i przyspieszyły w kierunku prawie zupełnej zagłady Słowiańszczyzny na ziemiach niemieckich.

W sumie jednak mankamenty te nikną wobec ilości przytoczonych faktów, dobitnie charakteryzujących stosunek Niemców do Słowian połabskich; inteligentny i uważny czytelnik (oby książka ta znalazła ich jak najwięcej) łatwo uzupełni sobie niedopowiedzianą resztę.

Gerard Labuda

BIULETYN INFORMACYJNY *Wydziału Kultury i Sztuki przy Urzędzie Wojewódzkim Poznańskim* — styczeń 1946 r. — R. I. Nr 1—2.

Biuletyn, jak czytamy, ma „pobudzić do aktywności a nawet do szlachetnego współzawodnictwa", ma „informować o najważniejszych wydarzeniach na terenach poszczególnych powiatów, dając równocześnie ogólny pogląd na całość pracy".

Biuletyn może zatem być bardzo pożyteczny, jako cegiełka do kroniki kulturalnej ziemi wielkopolskiej, i takim chcielibyśmy go widzieć. — Sądzę, że Redakcji Biuletynu może udać się spełnienie tego zadania. Pierwszy numer usprawiedliwia taką nadzieję.

Aby cel ten osiągnąć, należałoby naszym zdaniem:

1. nie pobudzać, ale raczej hamować

---

*) Sprawę tę obszerniej omawia obecnie Z. Kaczmarczyk, *Kolonizacja niemiecka na wschód od Odry*, Poznań 1945, pracy wydanej także przez Inst. Zachodni w Poznaniu. Recenzja tej pracy w Przeglądzie Wielkopolskim nr 2.

współzawodnictwo, jako nie tylko nie odpowiadające temperamentowi Wielkopolanina, ale mogące zagrażać obiektywizmowi, ścisłości i dokładności notatek kronikarskich — z niepowetowaną szkodą dla Biuletynu;

2. domagać się pościągliwego, lecz pełnego i dokładnego, sprawiedliwego podawania faktów, wydarzeń, prac i zasług;
3. sprawozdawców poszukać także z poza referentów Kultury i Sztuki.

Szczerość i odwaga, z jaką napisana jest przedmowa do pierwszego numeru, uprawnia do nadziei, iż „Biuletyn" będzie pożyteczny i wypełni dotkliwą lukę.

Na koniec zapytanie. Czy tak pojęty „Biuletyn" pod nazwą kroniki nie powinien być częścią „Przeglądu Wielkopolskiego"?

Koszt związany z drukiem nieco inaczej może ujętych notatek z terenu usprawiedliwiałby się niewątpliwie wartością kroniki kulturalnej Wielkopolski, jako obrazującej życie aktualne oraz jako podstawy dla wartościowych uogólnień w przyszłości.

Dr W. Ostrowski

KRONIKA

Z WIELKOPOLSKI

Sześć lat okupacji hitlerowskiej i stosowania wobec Polaków zasad helotyzmu sprawiło, iż w Wielkopolsce z chwilą oswobodzenia znajdowało się ponad 200.000 młodzieży bez elementarnego wykształcenia obywatelskiego, bez szkoły powszechnej. Władze oświatowe przystąpiły bezzwłocznie do likwidacji ciemnoty, posiewu polityki wroga. Około 34% młodzieży tej przyjęła w lutym i marcu tuż po wypędzeniu okupanta w mury swoje szkoła powszechna. Dla reszty młodzieży, liczącej lat od 16 do 20, zorganizowano gęstą „sieć szkół powszechnych dla dorosłych", pokrywającą ziemię wielkopolską w nowych jej granicach.

W 1224 miastach i wsiach uczy się ponad 45 000 młodzieży pod kierunkiem 3600 nauczycieli, przepracowujących tygodniowo 31 000 godzin lekcyjnych. W r. 1945 około 3000 tej młodzieży zdało już egzaminy z zakresu 7 klas szkoły powszechnej, a 1800 uczniów i uczennic po ukończeniu 6 klasy przeszło do szkół średnich różnego typu. W roku obecnym liczba kończących szkołę powszechną dla dorosłych ogromnie wzrośnie.

Dla młodocianych analfabetów zorganizowano 37 kursów początkowych, jako placówek, przygotowujących uczestników dla szkół powszechnych dla dorosłych.

W świeżo odzyskanych powiatach Wielkopolski utworzono 8 kursów repolonizacyjnych, których zadaniem jest uzupełnienie wiadomości z jęz. polskiego, historii i geografii wśród młodzieży, która do szkoły polskiej nie uczęszczała.

Prace te, jak widzimy, wśród wysiłków nad odbudową kultury, mają znaczenie fundamentalne i są wykonywane dokładnie i z poczuciem odpowiedzialności.

A.G.

Z radością powitać należy zawarte z inicjatywy P. Z. Z. Okręgu Poznańskiego porozumienie w sprawie akcji kulturalnej — między Wydz. Kultury i Sztuki Woj. Urzędu Poznańskiego, Woj. Urzędem Informacji i Propagandy, Kuratorium Okręgu Szkolnego Poznańskiego, Polskim Zw. Zachodnim i Związkiem Nauczycielstwa Polskiego. Wymienione instytucje utworzyły specjalną komisję, która zajmuje się organizacją domów społecznych na ziemi lubuskiej. Wydział Oświaty Dorosłych

Kuratorium O. S. P. ułożył już specjalny program pracy domów społecznych na ziemi lubuskiej. Pierwszy etap pracy w domach społecznych, to zorganizowanie biblioteki i czytelni czasopism, chóru, teatru amatorskiego i godziwych zabaw.

Dalszym etapem pracy będzie organizowanie najpierw dorocznych a później systematycznych wykładów popularno-naukowych powszechnych, jako wstępu do zorganizowania potem uniwersytetu powszechnego lub uniwersytetu ludowego.

Poza tymi formami pracy specyficznymi i zasadniczymi, w domach społecznych winny mieścić się, np. na wsi: kursy ogrodnicze, hodowlane, przysposobienia w gospodarstwie domowym itd. W środowisku miejskim bardziej stosowne będą znów kursy sezonowe z zakresu księgowości i buchalterii, pisania na maszynie, stenografii, kurs z zakresu muzyki i sztuki, kurs literatury i historii polskiej i inne.

W związku ze zogniskowaniem życia kulturalnego środowisk w domach społecznych mogą rodzić się i inne prace jak: lokalne muzeum, organizowanie wycieczek krajoznawczych itp.

Domy społeczne mogą się stać centrami kulturalno-oświatowego życia środowisk świeżo odzyskanych powiatów Wielkopolski.

Osiągnięte między urzędami i instytucjami porozumienie i likwidacja wielotorowości poczynań jest dowodem mądrości politycznej, zmysłu społecznego i głębokiego poczucia odpowiedzialności za los odzyskanych powiatów.

W. B.

Z POZNANIA

Na ostatnim w roku 1945 posiedzeniu Komisji Historycznej T. P. N., które się odbyło 5 grudnia, prof. dr Kazimierz Tymieniecki odczytał „Kartki z pamiętnika czasów okupacji". Był wtedy, przez okupanta aresztowany, przez szereg tygodni więźniem na Młyńskiej, skąd wydostawszy się wyniósł wspomnienia, spisane w małym notatniku. W latach następnych z tych cennych notatek zrodził się pamiętnik, który nie tylko zawiera zewnętrzne przeżycia autora i współtowarzyszy, ale nadto bardzo cenne streszczenie rozmów, prowadzonych między sobą, nastrojów i różnych przejawów psychicznych. Najciekawszym niewątpliwie z fragmentów, które prof. Tymieniecki odczytał, były wspomnienia o prof. Pawłowskim, z którym razem siedział w tej samej celi. Postać zamęczonego profesora wychodzi z nich w pełnych konturach i z całą plastycznością. Pamiętnik prof. Tymienieckiego, sądząc z wyjątków które odczytał, stanie się z chwilą ogłoszenia niewątpliwie bardzo ciekawym dokumentem chwili.

*

Koło Poznańskie Związku Zawodowego Bibliotekarzy Polskich, które wskrzesiło w wrześniu 1945 swoją działalność, odbyło trzy posiedzenia plenarne. Pierwsze w wrześniu wybrało nowy zarząd z prof. dr. A. Birkenmajerem jako prezesem i dr. J. Baumgartem jako sekretarzem na czele, drugie z 6. XI. poświęcone zostało pamięci zmarłych wzgl. pomordowanych w czasie wojny członków, trzecie wreszcie 16. XII. miało charakter towarzyski, połączony z opłatkiem koleżeńskim. Na zebraniu, urządzonym ku czci zmarłych bibliotekarzy wygłoszono szereg wspomnień. Ks. dr J. Nowacki mówił o ks. kanoniku Fórmanowiczu, zamęczonym w obozie koncentracyjnym, dr J. Baumgart wspomniał zasługi zamordowanego w Poznaniu dr. L. Posadzego, dr Z. Kawecka omówiła żywot i zgon dr. J. Krampery, mgr F. Frieske mówił o Z. Tabulskiej, M. Kramperowa o J. Skarzyńskim, dr Z. Grot o radcy miejskim i wiceprezydencie miasta Poznania Zygm. Zaleskim, dr K. Kaczmarczyk o archiwariuszu dr. F. Pohoreckim a A. Koehlerówna o Z. Retzównie. Za wszystkich zmarłych odbyła się następnie żałobna msza św. w Kolegiacie Farnej, celebrowana przez ks. dra Nowackiego. *(ZG)*

Z GNIEZNA

Gniezno słusznie szczyci się tym, iż jego Biblioteka Miejska jako pierwsza w Wielkopolsce, bo już 18 lutego 1945 r. otwarła na nowo czytelnię książek i gazet, a w dniu 1 maja 1945 r. uruchomiła wypożyczalnię książek i czasopism. Po rocznej pracy Biblioteka Miejska liczy już kilka tysięcy woluminów, a korzysta z niej 835 czytelniczek i czytelników. Liczba dziennych wypożyczeń waha się od 100—320. Biblioteka Powiatu Gnieźnieńskiego, której zadaniem jest zaspakajanie potrzeb czytelniczych powiatu, tworzy komplety ruchome, które niebawem wyruszą w powiat.

Akcja bibliotekarska w mieście jest koordynowana przez sekcję biblioteczną Miejskiej Komisji Oświatowej.

Pierwsza powojenna wystawa obrazów i rzeźb artystów gnieźnieńskich została otwarta w październiku 1945 r. Prace swe wystawiali: Stefan Engler, Mieczysław Krzywuł, Jerzy Tyszkiewicz i rzeźbiarz Florian Rachelski oraz kilimiarka Irena Scholz.

W dniu 27 listopada 1945 r. ukonstytuowało się Towarzystwo Przyjaciół Miasta Gniezna, którego zadaniem ma być troska o dobro i piękno miasta. Cele swe pragnie T-wo osiągnąć przez kultywowanie wiedzy o mieście, popieranie wydawnictw, przyczyniających się do rozwoju miasta, roztoczenie opieki nad zabytkami i dziełami sztuki itp. Żywą działalność rozwinęła sekcja muzyczna T-wa, która zorganizowała imprezy muzyczne. Zasługą T-wa są przeprowadzane obecnie prace zabezpieczające zabytkowy kościół św. Jana, znany ze swych cennych fresków z XIV wieku. T-wo zamierza przystąpić do odbudowy zniszczonego przez okupanta pomnika Bolesława Chrobrego, który stanąć ma na dawnym miejscu u stóp katedry gnieźnieńskiej.

Niemałą atrakcją był koncert, odbyty w dniu 7 lutego br., w którym wystąpili Prof. Franciszek Łukasiewicz (fortepian) oraz Leon Świątkiewicz (wiolonczela).

O obecnym stanie zabytków gnieźnieńskich i pracach renowacyjnych w katedrze gnieźnieńskiej dowiedzą się czytelnicy „Przeglądu" niebawem z artykułu, przygotowywanego przez ks. Kinęckiego z Gniezna.

W. O.

Z JAROCINA

Miasto Jarocin i powiat coraz skuteczniej wyrównują przez Niemców spowodowane zniszczenia kulturalno-oświatowe. Osiągnięcia dotychczasowe — w ciągu roku od wyzwolenia — przedstawiają się z grubsza wziąwszy następująco:

Szkolnictwo. W tej chwili są czynne w powiecie 92 szkoły powszechne, co równa się 100% stanu przedwojennego, dwa istnieją znowu gimnazja i licea (w Jarocinie i Pleszewie), przedszkoli zorganizowano 11 (= 184%); w tym 4 w samym Jarocinie.

Oświata pozaszkolna. Do niej zaliczyć należy punkty oświatowe dla dorosłych (46), biblioteki (17, w czym 3 w Jarocinie) z 10 czytelniami, świetlice (11), domy społeczne (7) oraz 2 uniwersytety powszechne (jarociński i pleszewski).

Odczyty popularno-naukowe organizował tutejszy Oddział P. Z. Z. Z nich na wymienienie zasługują: „Ziemie odzyskane", „W sprawie Polaków — obywateli niemieckich", „O prawo życia dla Łużyczan". Poza tym wygłosił dr Zbigniew Zakrzewski z Poznania wykład „Z dziejów postępu gospodarczego świata".

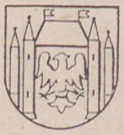
Śpiewactwo i Muzyka. Chórów odżyło 17, z czego 2 w Jarocinie, 2 w Pleszewie i 2 w Witaszycach, orkiestr zaś powstało 10. Wyróżnia się „Chór Kościelny", który

dzięki niezmordowanym wysiłkom swego dyrygenta, L. Kunza, zdołał osiągnąć prawie przedwojenny, bardzo wysoki poziom. Na lato zapowiadają zjazd śpiewaczy. Muzykę kameralną zareprezentował kwartet poznański pod dyr. Zdzisława Jahnkego, atrakcją niebywałą dla melomanów był (6. 10. 45) koncert Stanisława Szpinalskiego.

Teatr. Życie teatralne po początkowej intensywnej działalności osłabło. Ma to prawdopodobnie związek ze zmianą kierownictwa w jarocińskim „Domu Kultury". W całości jest w powiecie 5 teatrów amatorskich. Osobno podkreślić wypadnie stworzenie w Pleszewie przez Z. Tuczyńskiego teatru marionetkowego „Czar" z oryginalnym programem i efektowną dekoracją. Potrzeby rozrywkowe jarociniaków zaspakajają nadto 2 kina (Jarocin, Pleszew) oraz dosyć częste odwiedziny obcych zespołów.

Działalność wydawnicza była stosunkowo ożywiona. Do stycznia br. mógł Jarocin poszczycić się własnym, wydawanym przez Pow. Oddział Inf. i Prop. pismem, „Gazeta Powiatu Jarocińskiego". Poprzednio nosiło ono kolejno tytuły: „Gazeta Jarocińska", „Biuletyn Informacyjny", „Informator Powiatu Jarocińskiego". Czasopismo to miało charakter regionalny. Pamiątką rzetelnej pracy w szkole (w lutym i marcu 1945 roku) są „Iskierki (Nasza tymczasowa książeczka szkolna)", którymi Nauczycielski Komitet Redakcyjny wypełnił częściowo brak książki. Uczczeniem pomordowanych przez zbirów hitlerowskich jarociniaków jest „Jednodniówka męczenników". Zainteresowanie dla najmniejszego narodu słowiańskiego budzi broszurka „O prawo życia dla Łużyczan".

Nie wszystkie straty są do powetowania. Do takich należy — pomijając normalne szkody, które i inne miasta w całej Wielkopolsce odczuły — wywiezienie w niewiadomym kierunku przebogatych zbiorów muzeum gołuchowskiego, rozebranie kościołów: gotyckiego w Gołuchowie oraz drewnianego w Cerekwicy, zlikwidowanie muzeum regionalnego w Pleszewie oraz muzeum pamiątek mickiewiczowskich i sienkiewiczowskich w Śmiełowie. *L. K.*

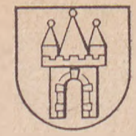


Z MIĘDZYRZECZA

W odzyskanym grodzie piastowskim organizuje się *Powiatowe Muzeum Regionalne Ziemi Międzyrzeckiej*, w którym schronienie znajdą liczne zabytki, świadczące o polskości tej ziemi, a zatem: wykopaliska, dokumenty królów polskich, jak np. Stefana Batorego i Stanisława Augusta, dawne księgi i stare pieczęci polskie, a między innymi także orzeł polski, wykonany z blachy, na którego odwrocie znajduje się notatka w języku niemieckim wyjaśniająca, iż orzeł ten wisiał do r. 1906 na ratuszu międzyrzeckim i w czasie renowacji został usunięty. Orzeł ten odnaleziony został przez referenta kultury i sztuki p. Alfonsa Kowalskiego.

Dzięki staraniom tegoż referenta oraz pracy p. Alojzego Rozolaka, profesora miejscowego gimnazjum (repatrianta z Wilna) został przy współpracy Inspektoratu Szkolnego zorganizowany *amatorski teatr kukiełkowy*. W czasie poświątecznym teatr grał w Międzychodzie, Kosieczynie, Pszczewie i Dąbrówce Wielkiej, dając „Szopkę ludową — z gwiazdą, kukiełkami i kozą".

Z inicjatywy p. Alfonsa Kowalskiego zorganizowano też pod protektoratem Pełnomocnika Rządu oraz Inspektora Szkolnego *„Towarzystwo Przyjaciół Nauki i Sztuki"*, przed którym stoją wielkie, lecz wdzięczne zadania badawcze i kulturalno-polityczne.



ZE ŚREMU

Miasto Śrem nie doznało ani podczas wojny, ani podczas opuszczania miasta przez Niemców poważniejszych strat. Spalony został jedynie dworzec z magazynami, który się powoli odbudowuje; most żelazny wysadzony przez wojska polskie na początku wojny zastąpili Niemcy drewnianym i nie zdążyli go przed opuszczeniem miasta zniszczyć. Dość wcześnie przybrało więc miasto normalny wygląd, walczy jednak z tymi samymi trudnościami — zwłaszcza natury gospodarczej — które jako wynik wojny są udziałem wszystkich naszych miast. Obecnie z zakładów przemysłowych poza mleczarnią, gazownią itd. czynne są w Śremie: fabryka maszyn Malinowskiego, młyn parowy Szczepskiego (duży młyn, wysyłający przed wojną mąkę nawet zagranicę, do innych części świata, spłonął podczas wojny niezależnie od działań wojennych), garbarnia, fabryka przetworów słodowych „Malto" oraz fabryka płótna.

Śrem posiada dwie szkoły powszechne, państwowe liceum i gimnazjum, gimnazjum dla dorosłych i uniwersytet powszechny. Życie kulturalne zależne jest od przyjezdnych zespołów z innych miast, przy czym odczuwa się dotkliwie brak urządzeń scenicznych (kulisy i kurtyna). Stojąca dawniej na dość wysokim poziomie kultura muzyczna i śpiewacza walczy obecnie z trudnościami. Mimo to zespoły muzyczne urządziły w grudniu koncert a chór kościelny i gimnazjalny wieczór kolęd w styczniu. Z prywatnej inicjatywy urządzono wieczorek literacko-towarzyski połączony z tradycyjnymi „Andrzejkami". Odbywające się dość regularnie Powszechne Wykłady Uniwersyteckie nie znajdują niestety poza młodzieżą szerszego zainteresowania — mimo dość ciekawego doboru tematów i kwalifikowanych wykładowców. Spośród stałych uczestników uniwersytetu powszechnego, pracującego w 6 sekcjach znaczna ich część przeszła do utworzonego gimnazjum dla dorosłych. Mieszcząca się przy Pow. Oddziale Inf. i Prop. biblioteka publiczna nie może z powodu braku nowszych książek rozwinąć większej działalności. Z okazji pierwszej rocznicy wyzwolenia miasta spod okupacji hitlerowskiej (23. I.) odbyła się uroczystość na rynku a nakładem Pow. Rady Narod. ukazała się jednodniówka w postaci biuletynu sprawozdawczego z powiatu śremskiego za rok 1945. W styczniu gościł w Śremie z występem zespół trzech artystów Polskiego Radia, urządzając Podwieczorek przy mikrofonie.

J. H.

KOMPLETY

Rocznika „Przeglądu Wielkopolskiego" 1939 (numerów 8)

jeszcze **dziś** do nabycia, bliskie są wyczerpania.

W roczniku tym ukazały się m. i. prace:

Dr J. Kostrzewski: Kultura staropolska w świetle wyników ostatnich badań.
Dr W. Rakowski: Wielkopolska w czasach lodowcowych a ówczesna fauna.
Br. Maske: Pospolitsze gatunki ryb Warty i wód okolicznych Poznania.
Dr Z. Kaczmarczyk: Rządy Kazimierza Wielkiego w Kaliszu.
Dr W. Jakóbczyk: Idee organizacyjne w Wielkopolsce w pierwszej połowie XIX wieku.
J. W. Szulczewski: Jak w Wielkopolsce gadają zwierzęta?
Stanisław Mikołajczyk: Rolnictwo wielkopolskie wczoraj i dziś.
Inż. J. Domakowski: Lasy i przemysł drzewny w Wielkopolsce.
J. Wręga: Łużyczanie.
Dr W. Rusiński: O tzw. „Olędrach" w dawnej Wielkopolsce.
J. W. Szulczewski: Park natury nad jeziorem Góreckim.

SPIS ARTYKUŁÓW

zawartych w numerach 1 i 2 „Przeglądu Wielkopolskiego" rocznika 1946

W najbliższym numerze (kwietniowym)

ukażą się między innymi prace:

Prof. dra A. Skałkowskiego: Kościuszko a Wielkopolska — oraz
Prof. dra L. Jaxy-Bykowskiego: Młodzież szkolna Wielkopolski i Pomorza w świetle badań eksperymentalnych.

ERRATA

dostrzeżone w numerze 1 r. 1946 „Przeglądu Wielkopolskiego"

W artykule J. Kostrzewskiego w n-rze 1 „Przeglądu Wielkopolskiego" należy poprawić następujące omyłki drukarskie:

str. 16 w. 17 od dołu zam. kolie czytaj kolce,
str. 16 w. 4 od dołu zam. kolie czytaj kolce,
str. 18 w. 16 od góry zam. Kostmann czytaj Hostmann,
str. 18 w. 15 od dołu zam. wazowej czytaj wczesnej,
str. 20 w. 20 od góry zam. będą się od widków czytaj kędy się od wieków,
str. 20 w. 9 od dołu zam. służnikiem czytaj dłużnikiem.